



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 17 MAJA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY

TREŚĆ NUMERU:

Polska a lotnictwo—*H. Ceysingerówna*. Niewyzyskane bogactwa—*K. S. Świat Kobiocy* (feljeton) c. d. — *Maria Grossek Korycka*. Konik wrony—*Giovanni Pascoli* (tłom. *Julia Dicksteinówna*.) Powrót—*Stefanja Podhorska-Okolów*. Najdostojniejsza — *Claude Farrere*. Brzydkie miasto—(dok.) *Marja Dąbrowska*. Nowy przekład „Boskiej Komedji”—*Marja Hornowska*. Dr. *Zofja Daszyńska-Golińska*—*C. Walewska*. Sztuki plastyczne—*N. Samotyhowa*. Z życia kulturalnego w stolicy i kraju — *I. W. K.* IV Targ Poznański—*Wanda Dobrzańska*. Na polach pracy i twórczości. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z teatrów—*W. Miłaszewska*. Sukienka z ginghamu—*M. H. S.* Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: Pieniądze (autoryzowany przekład z włoskiego *R. Centnerszwerowej*) c. d. — *Ada Nagri*. Dodatek robót i ubiorów. Tablica krojów.

POLSKA A LOTNICTWO

W ciągu ostatnich lat kilkunastu, a właściwie kilku dopiero rozwój lotnictwa uczynił niesłychane postępy. Samoloty wznoszą się na wysokość kilkunastu tysięcy metrów; szybkość ich lotu dochodzi do 400 kilometrów na godzinę; unosić się mogą w powietrzu po 40 godzin bez przerwy, wożą po kilka tysięcy kilogramów ładunku; przelatują mogą z Europy do Ameryki; szybują nie tylko w dzień, ale i w nocy; lot ich możliwy jest już i bez silnika.

Cudowne to narzędzie stanie się najpotężniejszym czynnikiem wymiany zarówno dóbr materialnych, jak duchowych. Zbliży ono do siebie najodleglejsze narody, podniesie cywilizację w niedostępne dotąd kraje.

Jednocześnie jednak samolot jest straszliwym narzędziem walki.

Wróg, rozporządzający eskadrami samolotów, zamienić może w gruzy nasze miasta i wioski; rozrzucając pociski z gazami trującymi, zniszczy nasze zasiewy, wytruje lud i zwierzęta.

A lotnika wrogiemu osiągnąć i zwyciężyć może tylko lotnik.

W tem ostatnim zdaniu mieści się wskazówka dla nas.

Wciśnięci między dwa zaborcze, a o wiele liczniejsze od nas narody, musimy nierównomierność sił naszych do sił wrogów wynagrodzić innym sposobem. Nie możemy wystawić armij lądowych równie licznych jak Niemcy i Rosja, ale możemy dorównać im a nawet przewyższyć je ilością statków powietrznych, zręcznością i odwagą naszych pilotów, doskonałą konstrukcją naszych aeroplanów.

Ideowo, stojąc zawsze i wyłącznie na stanowisku obrony naszej, odrzucając wstrętą duchowi polskiemu od najdawniejszych czasów myśl podbojów, musimy jednak uczynić wszystko, co w naszych siłach, by nigdy już żadne jarzmo szyi polskiej nie tknęło.

Szczyśliwy zbieg okoliczności, czy wyrok woli Bożej sprawił, iż niepodległość zwróconą nam została w epoce wielkich zdobyczy techniki powietrznej, tak, iż jednocześnie z tym nieocenionym darem otrzymaliśmy i możliwość utrwalenia go, zabezpieczenia i obrony.

I znów z poetą powtórzyć musimy: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“.

Już nie ma dla nas tego znaczenia, co dawniej, niefortunne nasze położenie geograficzne, naturalna nieobronność naszych granic...

Woli tylko! W zdrowej woli ducha polskiego tkwią wszelkie możliwości.

Trzeba nam wylecieć wzwyż.

Musimy stać się pierwszą w Europie potęgą lotniczą!

Nie cofajmy się przed tem hasłem!

Nieśmiałość pierwszych kroków, gdy całuny grobowe kępowały jeszcze swobodę naszych ruchów, dziś już nie przystoi nam. Rozprostowaliśmy członki, rozwińmy teraz skrzydła i loty myśli puśćmy w przestworza!

Mamy wszelkie warunki potemu, by stać się narodem lotników. Polska jest wielką śródeuropejską płaszczyzną, niby olbrzymiem lotniskiem świata. Musimy tylko przygotować ziemię naszą na przyjęcie latawców powietrznych, które ze wszystkich stron spływać tu będą.

Mamy w usposobieniu, w temperamencie ten element ryzyka, impetu i lotu, który czyni dobrego pilota. I pod tym względem wypowiedzieli już francuscy fachowcy ważką swoją opinię.

uznając, iż młodzież polska stanowi najdoskonalszy materiał lotniczy.

A jakąż w tem wszystkim rolę kobiet polskich?

Niewątpliwie znajdują się i u nas lotniczki, jak znalazły się we Francji i w Ameryce. Ale to już rzecz przyszłego pokolenia. Na wystawie lotniczej w Warszawie widzieć można było zarówno dziewczuszki, jak chłopców, których oczy paliły się i śmiały do skrzydlatej maszyny. Dzisiejsze pokolenie kobiet naszych, z bardzo nielicznymi wyjątkami chyba, nadaje się co najwyżej na pasażerki powietrznych komunikacyjnych olbrzymów...

Mimo to pole wysiłków przed nami kolosalne.

Trzeba stworzyć polską flotę powietrzną wojskową i handlową. Ale przedewszystkiem trzeba zebrać na nią pieniądze. I tu krok pierwszy, który uczynić można całkiem indywidualnie — to zapisać się na członka „Ligi Obrony Powietrznej Państwa.“

A dalej, mamy przecież stowarzyszenia kobiece, mamy organizacje, których szczególnem zadaniem było niesienie pomocy i opieki armii polskiej. Każde z nich powinno dziś, idąc za przykładem Sejmiu powiatowego w Rypinie, zbudować własnym kosztem jeden samolot wojskowy na usługi Rzeczypospolitej. Nazwany nadanem mu przez organizację imieniem ponieście pamięć wysiłków naszych na powietrzne szlaki. Myślą śledzić będziemy jego losy i walkę, i naszą po części sławą będzie sława jego zwycięstw, a co najważniejsza, nawet w razie wojny, z większem spokojem patrzeć będziemy na kolebki dzieci naszych,

pewne, że przeciw straszliwym bombom wroga znajdzie się w powietrzu skrzydlaty obrońca.

Dziś lotnictwo nasze jest jeszcze w kolebce.

Mamy zaledwie 200 samolotów wojskowych, podczas, gdy w Rosji zbudowano ostatnimi czasy 2000, a Niemcy posiadają niezliczone falangi powietrznych statków handlowych, które w ciągu 24 godzin przerobić mogą i przystosować do celów wojny.

Gdy wymawiamy straszny ten wyraz, pamiętamy, że słabość sąsiada stanowi dla narodu zaborczego najsilniejszą pokusę do wojny zaczepnej. Im silniejszą posiadać będziemy armję, a przedewszystkiem flotę powietrzną, tem lepiej zabezpieczymy wolność naszą, ale i pokój świata.

Jak dalece pozostaliśmy w tyle poza narodami zachodu w dziedzinie lotnictwa, świadczą następujące cyfry.

We Francji ustawa 1923 r. przewiduje na czas pokoju 132 eskadry bojowe (pościgowe i niszczyielskie) po 15 samolotów każda, t. j. 1280 płatowców oraz 76 eskadr obserwacyjnych po 10 samolotów, t. j. 760 płatowców, co stanowi razem 2640 samolotów do czynnej służby frontowej. W liczbach tych nie jest uwzględnione lotnictwo morskie. Według obliczeń berlińskich, Francja w razie wojny rozporządzać będzie 30 tysiącami samolotów.

Jeżeli chcemy dorównać, jakiz wysiłek nas czeka!

Ale czyż dla Polaka jest cokolwiek niemożliwego, gdy zaciąwszy zęby, powie: tak chcę?!

Drugie miejsce na polu lotnictwa zajmuje Wielka Brytania.

Etat lotnictwa do obrony metropolji przewiduje tam: 82 eskadry po 12 samolotów, to zn. 984 płatowców do służby frontowej, oraz 7 i pół eskader morskich, oddanych do wyłącznej dyspozycji Ministerjum marynarki. Do tego dodać należy eskadry, utrzymywane przez dominja, oraz eskadry służby kolonialnej.

W ostatnich czasach Włochy zwróciły specjalną uwagę na lotnictwo.

Tak więc, gdy w powietrze zerwie się cały świat, czyż my w przyziemną spekulację włożyćbyśmy mieli całą naszą energję?!

Jest jeszcze inna rzecz do zrobienia.

Polska ma dotąd bardzo ograniczoną liczbę lotnisk. A trzeba, aby każde miasto i miasteczko miało swój plac lotniczy; trzeba nietylko na użytek wojskowy, ale i dla celów handlu i ze względu na bezpieczeństwo lotników. Miasta nasze posiadają duże obszary nieużytków. Przerobić je należy na lotniska. I tu zwracamy się do kobiet, które w Radach miejskich dość już licznie zasiadają, by do dzieła tego dały inicjatywę.

Jak w wywiadzie, udzielonym korespondentowi „Nowin Ilustrowanych“, zauważył Marszałek Piłsudski: „Nie lot jest niebezpieczny, lecz styczność z ziemią“ „Aeroplan powinien mieć odpowiednie porty, a w nich środki, umożliwiające mu dalszą jazdę w warunkach stosunkowo bezpiecznych. Konieczne są subsydja i ofiarność społeczeństwa“.

A więc budujmy aeroplany i porty dla nich.

To hasło na chwilę bieżącą!

H. Ceysingerówna.

N I E W Y Z Y S K A N E B O G A C T W A

I.

Wśród licznych bogactw ziemi naszej największym bezwątpienia skarbem jest urodzajność jej gleby. Czy ona jest uprawą dostatecznie wyzyskana? Na ten temat możnaby fachowo dyskutować. Ale cokolwiek dałoby się o tem powiedzieć, jedno jest pewne, że bardzo poważny dział tej uprawy, a mianowicie ogrodnictwo dotychczas prawie leży odłogiem. A jednak twierdzą fachowcy, że kraj nasz, jak mało który, ma najodpowiedniejszą glebę i najlepsze warunki klimatyczne dla ogrodnictwa i sadownictwa, że Polska mogłaby nietylko zaopatrzyć obficie własne potrzeby, ale produkować wielkie ilości warzyw i owoców na wywóz i czerpać stąd ogromne dochody. Tylko brak zrozumienia dla tej gałęzi gospodarstwa sprawia, że to obfite źródło bogactwa krajowego jest dotychczas dla nas zamknięte. Tylko ideowa i pionierska praca działaczy oświatowych mogłaby to źródło otworzyć. Trzeba pójść w lud rolniczy

i pokazać mu słowem i czynem, czem jest i czem stać się może dla nich uprawa warzyw i owoców. Trzeba rozbudzić w nich zapal do tej pracy tak bardzo produktywnej, a z drugiej strony dającej tyle radości i zadowolenia estetycznego.

Kiedy przed laty poraz pierwszy wyjechałam zagranicę, kiedy przyglądałam się życiu i pracy ludu zachodniego — najbardziej mię uderzył, ten wysoki poziom kultury życia codziennego, tak różny, tak bardzo różny od tego, co widziałam u nas. Trudno mi nawet wyrazić zazdrość, jakiej doświadczałam ciągle na widok tych schludnych domków i zabudowań gospodarskich, tych starannie pielęgnowanych ogrodów i sadów, tego wspaniałego bytła i wszystkiego wogóle, co wchodziło w zakres ich pracy i życia. I choć bardzo jeszcze wtedy młoda i zajęta prawie wyłącznie pracą naukową, nia mogłam się opędzić wciąż wracającemu pytaniu: dlaczego w naszym kraju, o tyle lepiej uposażonym przez naturę pod każdym względem, o tyle

gorzej wszystko się przedstawia? Narzucające się stereotypowe odpowiedzi: ucisk obcych rządów, lenistwo ludu i t. p. nie zadawał mi w zupełności.

Zaczełam przyglądać się bliżej temu życiu zagranicznemu. Zachodziłam do chat i ogrodów, przystępowałam do ludzi pracujących w polu, nawiązywałam z nimi rozmowy, bardzo mnie pouczające — a nade wszystko zwiadałam dużo szkół wiejskich, które najwięcej światła rzuciły na moje poszukiwania.

Gdybym posiadała boski dar słowa, gdybym umiała wyczarować przed Wami, Sz. Czytelnicy, te cudowne obrazy życia ludu kulturalnego, gdyby czas i pamięć moja pozwalały odtworzyć te nadzwyczaj ciekawe rozmowy, które tam prowadziłam — doszlibyście zapewne do tej samej konkluzji, do której i ja w końcu doszłam: że choć zarówno ucisk niewoli, jak i zapewne skłonność naszego ludu do lenistwa nie — jedno tłumaczą, to jednak główna przyczyna tej różnicy stopy życiowej

leży w braku odpowiedniego przysposobienia do pracy, w braku fachowego wykształcenia — jednym słowem: w braku oświaty.

Kiedy bezpośrednio po powrocie do kraju pracowałam jakiś czas w ogrodzie „Towarzystwa Ogrodniczego” na Prądniku w Krakowie, miałam sposobność zetknąć się z człowiekiem, który pośrednio wpłynął na dalszy rozwój tego procesu myślowego, zapoczątkowanego we mnie zagranicą. Był nim kierownik owego ogrodu ś.p. Klus — staruszek zacny i miły, który zwierzał mi się ze swoich dążeń i długoletnich — niestety nieudanych — prób rozszerzenia w kraju ogrodnictwa i sadownictwa. Zapewniał mnie, że nigdzie w Europie niema do tego tak sprzyjających warunków, jak u nas i że niczem są bogate pokłady soli, węgla i ropy w porównaniu ze skarbami, które ręka naszego ludu wydobyć może z ogrodów. Nigdy nie zapomnę tego młodzieńczego zapału, z jakim malował przed moimi oczyma uroczyste obrazy przyszłości, kiedy kraj nasz pokryje się starannie pielęgnowanymi ogrodami i sadami. Był tego zdania, że należałoby urządzić na wsi odczyty i pogadanki, aby uświadomić lud o ogromnych korzyściach, jakiby czerpać mógł z uprawy warzyw i owoców.

Słowa jego trafiały we mnie na grunt przygotowany. Nie trudno było przekonać i porwać kogoś, kto świeżo wracał z Szwajcarii, która najwięcej daje przykładów tego, cze-

go dokazać może wyteżona praca i kultura narodu.

Szwajcaria — ten kraj najpiękniejszy na świecie — jest jak wiadomo bardzo uboga w płody. Ziemia przeważnie skalista, do uprawy niezdatna — a jednak mało gdzie widzieć można tak wielki i tak powszechny dobrobyt. Nie chcę tu mówić o wszystkich gałęziach pilnej pracy Szwajcarów, o wszystkich źródłach dochodów, za które lud szwajcarski mógł sprowadzać z zagranicy chleb prawie wyłącznie pszenicy. Chodzi mi o zwrócenie uwagi na zjawisko najbardziej znamienne: oto nigdzie prawie, nie wyłączając najwyższej położonych i najbardziej skalistych okolic, nie spotkałam zagrody, przy której nie byłoby pięknego ogrodu warzywnego i owocowego. Na własnych barkach nanieśli oni z dolin ziemię urodzajną i własnymi rękami sztucznie sobie tam wysoko wytworzyli glebę!

Nierzadko się tam spotyka inspekty, które dostarczają świeżych jarzyn i kwiatów przez cały rok a niskopienne drzewa owocowe, najbardziej przystosowane do tamtejszego gruntu, wydają owoce, na których widok ogarniał mnie szczerzy zachwyt. Szwajcarzy prowadzą staranny chów bydła na halach i również staranną gospodarkę rybną w swoich licznych jeziorach. Ale obok nabiału i ryb jarzyny i owoce stanowią najważniejszy składnik ich pożywienia zdrowego i bardzo urozmaiconego. Poza tem mam wrażenie, że praca w ogrodzie, wymagająca szczególnej staran-

ności, budzi w nich zamiłowanie do porządku i estetyki życia codziennego, a płynące stąd zadowolenie wytwarza pogodę ducha, tak charakterystyczną dla ludu szwajcarskiego.

I postawiłam sobie pytanie: jak to sprawić, aby w ludzie naszym rozbudziło się zamiłowanie do podobnego życia? jak go uświadomić, że własną pracą i umiejętnością mógłby wydobywać z bogatej swojej ziemi nie tylko skarby nieznane, ale nieśmioną nawet radość życia?

I oto już wtedy — w czasie tych rozmów z ś. p. Klusem — uświadomiłam sobie, że klucze do tego cudownego sezamu mają w ręku tylko *nauczyciele ludowi*. Oni, ci wychowawcy narodu muszą to wzięść w swoje ręce. Muszą działać nie tylko słowem, ale co najważniejsze — przykładem. Przejawszy się tą ideą, muszą cały kraj pokryć siecią ogrodów, któreby się stały wzorem i budziły chęć naśladownictwa.

Z wielką radością dowiedziałam się niedawno, że T. Czacki, jeden z najlepszych znawców naszych potrzeb narodowych, a zarazem znakomity organizator oświecenia publicznego już 18-ym wieku „chciał mieć ogrodnictwo wszędzie uczone, przedłożył plan swój założenia ogrodu wielkiego w Winnicy, a mniejszych przy każdej szkole i szkółce na całym obszarze trzech prowincji”, których był wizytatorem.

(c. d. n.)

K. S.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Gina Lombrozo, jak męczennik chrześcijański do katów, woła do mężczyzny „więcej egoizmu! — jeszcze więcej — jaknajwięcej”. „Im kobieta bardziej cierpi od samolubstwa i despotyzmu męskiego, tem bardziej ma prawo głosić przed światem, że miłość jest najwznioślejszym celem życia! Inaczej miłość schodzi do poziomu instynktów i ich zadowolenia”. Jest to tak wzniosłe — że mam w tej chwili w ustach smak zbrodniarza... ściągając nań rękę... A jednak ściągnę ją... ta wzniosłość jest dla życia ryzykowna — ona pędzi wodę na młyn komedjantek.

Nic łatwiejszego, jak grać poświęcenie!

Kobieta jest urodzoną aktorką, a mężczyzna nie pozna się na najordynarniejszej szmince, na najbardziej grubej szarży...

Poświęcenie symulowane może sobie pozwolić na rozmiary hyperboliczne, nic go to nie kosztuje! — ale te rozmiary mężczyzna przyjmie za normę, która biczem wymagalności

spadnie na plecy kobiet prawdziwych i szczerych, co robią, wszystko cokolwiek robią *naprawdę*... I nigdy ich krwawe poświęcenie nie wytrzyma porównania z komedjankami komedjantek. Nic bardziej nie wygląda na perłę prawdziwą, jak perła sztuczna.

Trzeba to przyznać, że kobiety pokoleń poprzednich nadużywały wielkiego słowa i sprofanowały je.

Mordercze były ze swoją wieczną pozą „ofiary”. Nie kichnęła żadna z przyczyny tak naturalnej, jak katar. Pamiętam, że jako bardzo młoda dziewczyna wpadałam w szal jak byk na widok czerwonej płachty, gdy o moje uszy uderzył dźwięk tego świętego słowa. Tak obrzydziła mnie poświęcenie jedna z moich wujecznych ciotek! Była to kobieta korpulentna i wielki smakosz, a ile razy nabawiła się niestrainności, mawiała, z omdlewającym wdziękiem, odsuwając półmiski „o nie, nie będę jadła, niech to lepiej zostanie się na potem dla dzieci... ja się wszystkiego umiem dla moich dzieci „wyrzekać”, poświęcenie zo-

stało zdyskredytowane, ośmieszzone wycofane z życia...

A dziś? z upragnieniem, z tęsknotą wyciągamy ręce, gdy znikło ze świata i to prawdziwe i to sztuczne... Wszak podrabianie go świadczyło jeszcze, że serce, które nie umiało do niego dociągnąć, znajdowało się jednak pod jego urokiem!!!...

O, niech powróci na ten zimny światu bez uczucia i natchnienia *dawna kobieta*, z jej ciepłem, słodyczą i poświęceniem!... Ale na miłość boską, bez jej komedjantstwa... Tamta zresztą była usprawiedliwiona — jej okropne poddaństwo, jej zależność absolutna zmuszała ją szukać ratunku w masce — brać podstępem odrobinę ulgi, którejby nigdy otwarcie sobie nie wyprosiła...

Dzisiejsza kobieta jest już na tyle samodzielna i niezależna, że może sobie pozwolić na ten wielki luksus, jakim jest „szczerłość”.

Potrzebne nam jest poświęcenie w charakterach — aby mogło ostać się małżeństwo, przechodzące ciężki

kryzys, z którego trudno przewidzieć, jak wyjdzie?

Oslabienie rodziny, tej podstawowej, elementarnej komórki ustroju społecznego pociąga za sobą wstrząśnienia niedostrzegalne, ale nieustanne, od których zarysowuje się gmach całej naszej kultury, *niebezpiecznie...*

Małżeństwo, które w przyszłości może być, musi stanąć znów na poświęceniu — tym razem jednak, nie tak jak staroświeckie, na jednostronnym poświęceniu kobiety — ale na poświęceniu z obu stron: *kobiety i mężczyzny.*

Kobieta musi odzyskać cnoty swoich prababek. Ale mężczyzna musi je w sobie wyrobić. Niech go to nie obraża. Niema w nich nic niewieściego — przypisane nam zostały tylko dla tego, że kobieta, jako szybciej uduchowiająca się, przyswoiła je sobie pierwej. Są one niczem innym, jak tylko cnotami, przywiązane do wielkiej miłości, wedle Pawła Apostoła, tej która „wszystko zrozumie, wszystko przebaczy i wszystko przetrzyma” — tej która nigdy nie ginie. *Wzajemność poświęceń!* — niech to nie będzie poczytywanem przez mężczyzn za wprowadzenie buchalterji w dziedzinę uczuciowości!... Kobieta nie będzie „na wagach kupca odważać mu serdecznego złota”.

Z tego co jest dobrocią i poświęceniem ona zawsze da więcej, niż weźmie... dukatami wypłaci się za miedziaki... Nie będzie się targowała, nie chodzi jej o to, aby nie być strątną!... Chodzi o przyjęcie przez mężczyznę takiej zasady, bo:

Wzajemność poświęceń ocala dumę duchów, którym nie przystoi pokora psa, liżącego stopę, co go depcze.

Wzajemność poświęceń daje gwarancję, że się jest kochanym. Nie mogę przecież wierzyć, że kocha mnie ten przedsiębiorca, mój gospodarz, który strzyże na mnie wełnę i zarzy na mnie na mięso, jak owcę?!

Wzajemność poświęceń jest gwarancją bezinteresowności związku i wzajemności kultu...

Widzisz te na witrażu ze świętych obręcze, Jak przypadły do ziemi w nabożnej prostracji?! Tak dusze nasze klęczą —

Jedna przed drugą — w niemej, wiecznej adoracji.

(Verhaeren).

Oto jest symbol, streszczający charakter tego małżeństwa, które w przyszłości może być... a które ten wielki poeta zrealizował w życiu swem i unieśmiertelnił w sztuce.

Zarzucą mi utopijność małżeństwa opartego na poświęceniu mężczyzny, tego okrzykanego egoisty.

Uważam opinię o męskim egoizmie za grubo przesadzoną!

Kobieta jest drobiazgową, nawet w uczuciu. Mężczyzna nie ma na to głowy, nie ma czasu wczuć się w pyłki życia. On będzie stukać butami, gdy w sąsiednim pokoju ktoś cierpi

na migrenę; zje cały talerz pierwszych poziomek, nie pomyślawszy, że to były dla wszystkich; zrobi awanturę o podanie obiadu o kwadrans później... Ale on ma dzień pokratkowany, na kwadrans i w każdej kratce siedzi jakiś interes, a te powłają jeden na drugi, gdy obiad przesunie się o kwadrans.

Kobieta ponabija sobie pełne serce takich drzazg, które on sieje bezwiednie. Dlatego tylko, że ma głowę czem innym zajętą. Ale gdy przyjdą wakacje i z pyłnej, dusznej, cuchnącej i zarażonej Warszawy kto żyw ucieka.. on, po całorocznej orce, bardzo potrzebujący wypoczynku: cerę ma ołowianą i bezsenność od kilku lat chroniczną, nietylko o wyjeździe nie myśli, lecz bierze podwójną porcję pracy, aby kobieta i dzieci oddychały morskiem, lub górskiem powietrzem...

Mężczyzna jest od kobiety zimniejszy: on tego nie robi z altruizmu, z poświęcenia... ale z tej swojej wysokiej *sprawiedliwości*, która jest par excellence jego cnotą, nadającą charakterowi kontur tak szlachetny.

On często tej żony nie kocha! — Ale wziął swoje przywileje mężczyzny, więc jej oddaje to, co według milczącego układu między mężczyznami należy się kobiecie.

Pracuje jak wół — zarabia góry pieniędzy. I co on ma z nich dla siebie? — Na nic nie ma czasu: na życie towarzyskie, na teatr, na podróże, na czytanie, nawet na godzinke tego dolce farniente w ogrodzie, z odkrytą głową, z papierosem w ustach, gdy się tak dobrze oddycha wśród kwiatów.

Jest sam u siebie, biedaczysko, kasjerem!

Góry pieniędzy przechodzą tylko przez jego ręce w torebkę żony — bawi się za nie i pełną piersią żyje rodzina!

Nie biorę faktów wyjątkowych. Biorę stosunki klasyczne.

To nie jest postępowanie egoisty!

Jeżeli zaś sięgniemy w najwyższe rejestra czynu: to on, ten *egoista* niesie swoją pierś dwudziestoletnią pod bagnety nieprzyjacielskie — bardzo często dobrowolnie... Mężczyzna, jak-gdyby oszczędza się na codziennych

drobiazgach, aby potem wystąpić naraz szczerze z wielką jakąś ofiarą!

Petardy emancypantek, manifesty sufrażetek pudłowały dlatego, że wytaczano mężczyźnie proces o złą wolę: *nie jego.*

Nie on jest twórcą kobiecego losu!

Dostałyśmy go z rąk Natury, która dla mężczyzny jest czułą matką, dla kobiety srogą macochą.

Nawet piękność, jedyna łaska, jakąśmy od niej otrzymały w darze, była nam dana dla niego: aby Synek miał się czem bawić... Natura stworzyła kobietę na niewolnicę mężczyzny. Mężczyzna z prezentu skorzystał — *largement!* Nie byłby człowiekiem, gdyby danej sobie władzy nie użył — i gdyby jej nie nadużył!... Ale nie byłby człowiekiem, gdyby mu to nadużywanie nie przyczyniało pewnej w sumieniu *subjekcji!*... Naturalnie, nie masa, żyjąca egoistycznie grubym instynktem, ale z każdego pokolenia garść najlepszych. Ta garść najlepszych z każdego pokolenia, czując ową w sumieniu *subjekcję*, starała się wciąż o poprawę losu upośledzonych, a w liczbie ich i kobiety. Za dni naszych mężczyzna spełnił nareszcie obowiązek moralny: *podarował* nam wolność. Nie mówmy, żeśmy ją *wywalczyły!* Położenie kobiety względem mężczyzny, stosunek jej sił do jego sił przedstawia taką dysproporcję, że walka kobiety z mężczyzną może być tylko tematem do farsy. Sufrażystki angielskie, które, *jedne* tylko, wzięły tę walkę na serjo i zastosowały właściwe metody walki, wywołały nie poklask kobiet, ani protest mężczyzn, ale powszechny śmiech! Mężczyzna mógł być, gdyby mu się tak było podobało, utrzymać nas na wieczne czasy w nieświadomości, w ciemnocie, w grubej pracy, w wielożeństwie, w haremowym zamknięciu... Niebyśmy na to nie poradziły! Mieszkańcy Marsa nie zeszliby na ziemię, by stanąć w naszej obronie. Wygrałyśmy proces, przeniesiony na grunt moralny. *Wygrał go dla nas Ideał*, bombardując sumienia wyrzutami.

Nawet w okresach niewoli widać troskę o zapewnienie kobiecie elementarnych warunków życia i zabezpieczenie jej od elementarnych klęsk. Wszystkie prawodawstwa państwowe, religijne, obyczajowe i moralne wkładają na mężczyznę obowiązek dożywotniego karmiciela i obrońcy kobiety, z którą się związał — biorą w żelazne rękawice gwałcicieli i uwodzicieli. Kultura rozpościera opiekę nad brzemienią, położnicą i karmicielką. Medycy robią wysiłki niesłychane i cudowne, aby kobieta nie umierała w połogu. Prawda, że dobry człowiek zrobiłby to samo dla kota... Jest to uwzględnienie tylko materialnych potrzeb fizycznej istoty... Bądź co bądź ani okrucieństwa, ani złej woli nie widzę!...

(c. d. n.)



GIOVANNI PASCOLI

Konik wrony^{*)}

Przełożyła JULIA DICKSTEINÓWNA

*W kół Torre cisza objęła już pole,
nad Rio Salto szemrały topole.*

*Normandzkie konie, każdy w swej komorze,
z głośnym szelestem łusek żuły zboże.*

*Pod ścianą dziki konik stał, zrodzony
między sosnami na omieli słonej:*

*dotąd miał jeszcze pryski morza w chrapach,
ryk w ostrych uszach, w żyłach morza zapach.*

*Matka ma, łokciem oparta na żłobie,
mówiła cicho w głuchej swej żalobie:*

*„O mój koniku, mój koniku wrony,
wiozłeś nam tego, co niepowrócony;*

*znałeś głos jego i gest każdy rękil
Wiesz, synek po nim został się maleńki,*

*on pierworodny z mych ośmiorga dzieciak
i nigdy cugli nie tknął drobnolatek.*

*Ty, choć masz w sercu nagie mórz podbrzeże,
słuchasz, gdy uzdę słaba rączka bierze.*

*choć czujesz orkan, jak cię w bok zacina,
słuchasz powolny, co mówi dziecina.*

*Koń się odwrócił śmigłej ruchem głowy,
matka mówiła smutniejszemi słowy:*

*„O mój koniku, mój koniku wrony,
wiozłeś nam tego, co niepowrócony,*

*wiem, żeś go kochał bardzo i w godzinie
strasznej ty byłeś z nim i śmierć jedynie.*

*Zrodzony w lasach, gdzie się fala wicherzy,
strach w głębi serca ukryłeś najcichszej,*

*gdyś czuł, że ręka nie włada wędzidłem,
nagliłeś drogę,—serce-ć było skrzydłem,*

*ostrożnieś wiozł go przez znajome niwy,
aby w spokoju konał nieszczęśliwy”.*

*Bliżej przysunął się leb śmigły, gładki,
dotknął splakanej, słodkiej twarzy matki,*

*„O mój koniku, mój koniku wrony,
wiozłeś nam tego, co niepowrócony,*

*musiał coś wyrzec, choć rwanemi słowy;
a ty rozumiesz,—aleś ty bezmowy. —*

*) Opis to prawdziwy nieszczęścia, jakie spadło na dom poety, podówczas dziesięcioletniego chłopca. Ojca jego zarządcę magnackich dóbr Torre, zabił nieznany skrytobójca, zaczajony u drogi. Koń sam dowiódł do domu zwłoki pana swojego, a jakkolwiek ognisty i niezupełnie jeszcze ujarzmiony, ciągnął bryczkę tak ostrożnie, jak gdyby bał się uczynić krzywdę umierającemu. W wierszu przebija wielkie serce poety, gdy opisuje delikatne uczucia zwierzęcia. Straszny wypadek wycisnął piętno na całym życiu i twórczości Pascolego.

*Ty z lejcem, który zwisł ci po kopyta,
z wzrokiem, gdzie ogień wszystkich czuć wykwiła,*

*z uchem, gdzie strzały jeszcze grzmiać ebowo
ciągnąłeś zwykłą drogą topolową,*

*wiozłeś go do nas, gdy się słońce chowa.
byśmy słyszeli późne jego słowa”!*

*Dumnie wznosił głowę, zjeżyła się grzywa,
matka mu szyję całunkami skrywa.*

*„O mój koniku, mój koniku wrony,
wiozłeś w dom tego, co niepowrócony*

*mnie-kogo nigdy, nigdy nie ściśniemy!...
Dobryś był... tylko, niestety, ach, niemy!*

*Niemy, nieboże, inni słów się boją.
O, musisz rozwiać nieświadomość moją!*

*Tyś widział tego, co go zabił człeka,
pamiętasz,—obraz tuli twa powieka.*

*Kto był? kto zacz jest? Ja imię wymienię,
Ty znak daj. Jaki? Bóg ześle-ć natchnienie”.*

*Spały już konie, nie skubały siana,
w snach im bielata droga słońcem złana.*

*Stuk kopyt ustał już po słomie złotej,
spały i śniły twarde kół turkoty.*

*Matka podniosła palec i w wylękłą
ciszę rzuciła imię... Rżenie dźwiękło.*

P O W R Ó T

...Przespałem słońce...

Słuchałem we śnie brzęku os i myślałem, że to dopiero południe, a tu nad moim łóżkiem złoty pas światła, więc wieczór.

Jak rozkosznie jest przespać dzień, który na jawie byłby może płazem, gliną, garstką mchu, odbłaskiem istnienia, wodą zamarłą i bez barwy, własnym cieniem wreszcie, ale nigdy dniem. Śliczny wieczór. Szkoda mi go... Nie będę dziś myślał o ludziach. Moi są siedzi schodzą hałaśliwie na dół na kolację. Niech sobie schodzą... Ja nie pójdę, pani Montos nie uczyni alarmu „dyskretne” zapraszaniem „na herbatkę”, bo myśli że jestem chory... niech sobie myśli...

...Jak dobrze jest przespać dzień, jak słodko jest pławić się w słońcu przez sen...

Zarygluję drzwi, żeby nikt nie wkradł się do mojego spoczynku, pod moje spojrzenia. Opuszczę żaluzje, żeby nikt?...

...Aaa, — więc ona i tu przylazła?

Stoi oto tam przed oknem z zabawkami, taka miluchna, filigranowa, jak saska filiżaneczka. Znakomicie „robi twarz” „bezfrasobliwej panienci”.

„Przyszłam sobie ot tak, bez żadnego zamiaru, a właściwie to mi się

niebardzo chciało”. Ona nawet wcale nie miała ochoty, ale ten Kazik tak się napraszał. Musiał koniecznie zobaczyć tego calnego murzyna i taki statek, co jak go nakręcić, to chodzi po wodzie jak żywy“...

...Cóż ona winna, że ten sklep jest na przeciwko mego pensjonatu? Ona o tem nawet nie wie... Wprawdzie o dziesięć kroków jest drugi sklep ze stokroć czarniejszemi murzynami, z nakręconym pudłem, z chłopcem krzyżącym przy myciu, z zatabaczonym niemcem, z lalkami o wylupiastych oczach, wprawdzie twój braciszek ciągnie cię za rękę do tego drugiego ładniejszego i gotów się rozplakać...

...Ale cóż ona na to poradzi? Przyszła przecież tak sobie, bez żadnej myśli. Nie, Lenka, nie; poco kłamać? Nie uwierzy ci nikt, nawet twój mały braciszek. Nie uwierzę ci przede wszystkim ja. Dla mnie tu przyszłaś, Lenka, dla mnie i jeszcze raz, dla mnie. Patrzysz niby to w górę na księżyc, ale co chwila oczy twe zbiegają po moim oknie, jak pliszki. Błysznie światelko, czy nie? Otóż nie, na złość nie zapalę.

Po co lezie? Dręcz się, myśl sobie, żem zginął, żem zachorował, żem

skręcił nogę, że zakochałem się w cygance, żem się utopił...

Dobrze. Dzisiaj ostatni września. Odtąd powinienem być dla ciebie, jak utopiony. Nie zobaczysz mnie już. Jutro wracam. Pani Montos policzy mi w trójnasób pożegnalną herbatkę i obsypie mię błogosławieństwem.

Lenka zsumuje wszystkie krzywdy, jakie jej wyrządziłem, myślą, mową, i odjazdem i będzie mnie przeklinała. O Świecie! Świecie! Cóż mi po błogosławieństwach starej sknery i kławatw tego starego dziecka?

Jedno i drugie spłyną po mojej duszy, jako woda, zmażą się nawzajem, zostanie po nich pustka—nic, nic.

...I dlaczego ty, Lenka, nie powiedziałaś nigdy, że mnie kochasz? Dlaczego, gdy cierpisz, to kładziesz obcisłą suknię, fryzujesz włosy i gładzisz pudrem ślady płaczu na twojej twarzy?

Czy ty wstydzisz się swoich łez?

Fe, Lenka, wstydz się za swój wstyd. Nie wiesz, biedactwo, że może właśnie w tej chwili jesteś sobą, zupełnie sobą na długie lata.

...Ale ciebie nauczono i kryjesz swój ból, och Lenka — wstydz się za swój wstyd.

Uf! Poszła sobie nareszcie.

Podniosę żaluzje, ale nie zapalę lampy. Niech myślą, że jestem chory... Słodko jest przespać dzień, słodko jest nurzać wypoczęte zmysły w szmeraniach gwiazd, w pocałunkach kwiatów, w pieszczotach lekkich i bez nazwiska, w topieli dziecięcych trosk radości zeszlętych, wczorajszych, dokonanych... Dziwnie pachną róże pod oknem...

...Musiał być dla niej twardy ten dzień — dla niej — dla Lenki. Bo tak: miałem przyjść na objad i nie przyszedłem. To dość, a potem jeszcze kwasy rodziców...

Mama siedzi na werandzie, fraszobliwa i odęta, bardziej odęta niż zwykle, świątecznie odęta.

Moja droga, co on sobie myśli, ten twój narzeczony? za co on nas ma?

A Lenka poprawia kwiaty na stole i zagryza usta, żeby tylko nie wybuchnąć płaczem. Przepraszam mamę, ale tak nie można. Ja bardzo mamę przepraszam, ale Jurek nic sobie nie myśli (zupełnie jakby niemyślenie o niczem było jakąś szczególną zasługą „porządnych“ ludzi). On mnie już wczoraj powiedział, że „że jeżeli do drugiej nie przyjdzie... to... to... nie czekać“.

Biedactwo kłamie, jak z nut, bo ja jej nic nie mówiłem.

...W takim razie każ podać zupełne.

I Lenka biegnie do kuchni, biegnie szybko, bez tchu, żeby tylko nie wybuchnąć płaczem. I cały dzień będzie się tak biła z myślami, jak bezsilne dziecko. I dopiero późno w noc, pociemku, pozwoli płynąć swoim niewinnym łzom, bardzo cichym i bardzo czystym. To ma swój urok ten pa-

nieński płacz bez łkania. Powiadają o starych smakoszach, że zalewają się lampką miodu, do poduszeczki, a panny płaczą... No, no!

Przed kilku dniami chodziliśmy jeszcze we dwoje po deptaku. Jak wszystkie deptaki był ohydny, ale po bokach rosły róże, same róże, pasy białych róż całodziane. Dusza mi się otwierała do tych kwiatów, Len-ce też.

Raz zaczęła coś o tem mówić nieśmiało i cicho, jak mówią zafukane dzieci, albo staruszki lękliwe o śmieszność:

„Jakie śliczne róże, a przecież to już koniec września“.

Koniec września! Więc pora! Przypomniała mi wszystko, Lwów, wykłady, te same twarze, te same fix'y w jednookiennym pokoiku, bieganie za notatkami dla Janki, obiady we „wspólnej trujni“, Kryształówkę, kolację z herbatą i „mieszaninką“, noc świętojańską w parku „na ruinach“...

Po co mi ona to wszystko przypomniała? Nie dość na tem, jeszcze gada, gada, gada tym swoim tępym głosem sheblowanym przez dobre „wychowanie“ i „tradycje rodzinne“: — Widzi pan, jak ja byłam w Warszawie, o już dawno, to widziałam też piękne róże, — tam koło pomnika. To było w listopadzie i właśnie zaczął padać pierwszy śnieg... prosto na te róże. Tak dziwnie i smutno. Ale im nic, a śnieg tak prędko stopniał. — Chciało mi się śmiać i... może źle, że ja panu to mówię, ale tak jakoś... chciałam całować te róże... Tylko, że przez kratę na ulicy — nie można. Stróż stoi...

— Naturalnie.

Jak ona mi patrzyła wtedy w oczy, jak patrzyła. Niewolnica, nie — jałówka wiedziona pod nóż.

— Panie Jerzy. Czy dusze mogą także kwitnąć, jak te róże pod śniegiem?

Pod śniegiem. Odwróciłem się i zacząłem coś pleść o fjołkach alpejskich. Miałem ochotę bić ją i siebie. Czyż ja mogłem jej powiedzieć, że dusza w niej nazawsze zamarła?... Tamto byłoby mniej brutalne...

Ciemno już. Podniosę żaluzje, ale nie zapalę lampy. Będę pisał przy świetle miesiąca. „Księżyc bije mi w okna i na zgrzebne deski“ Ha, ha, znowu reminiscencje. Co za podła natura. Wczoraj byłem zerem swoich namiętności, dziś jestem niewolnikiem wrażeń — kiedyż będę panem siebie i swojego życia?

Ilekcio przeczytam „Księgę puszczy“ zawsze wcielam się mimowolnie w ruchy i żądze pantery Bagh. Chciałbym wyciągnąć się na łóżku i zwiesić przednie łapy z krawędzi, czekając gości. Niech wchodzą, niech wyłamują drzwi. Przywitam ich skromnym, serdecznym ziewnięciem. Powoli — powoli otworzę paszczę. A gdy ją zamknę, nikogo nie będzie w pokoju... He, he. Ty podły człowieczy strachu. Ludzie. Czemu wy jesteście, wobec zwierząt? Nienawidzę was, pluję na was pogardą za ten strach, za wstyd strachu. Ja też mam niekiedy wściekłego „boja“, ale mówię to jasno i bez uśmiechu, a wy? — wy jesteście zawsze odważni. —

(c. d. n.)

Stefanja Podhorska-Okolów

C L A U D E F A R R E R E

NAJDOSTOJNIEJSZA

Tłumaczyła S. P.

Mojej matce.

Gdy miała lat siedem, odkryła w sobie powołanie, które polegało na tem, aby dosłownie niczego się nie bać. Pewnego razu na brzegu chodnika, mały piesek zjadał jakiś ochłap. Nadbiegł duży pies, popchnął małego, aby mu zabrać ochłap. Ale psisko nie przewidziało jednej rzeczy: co uczyni jego pani. A ta wzięła go za ucho, odciągnęła w tył, bardzo mocno, oddała ochłap małemu psiakowi, poczem stanęła między nimi. Wielkie psisko było tak zdumione, że nie zaprotestowało, przynajmniej na razie. Bitwa była wygrana.

Ale dalszy ciąg był mniej świetny. Wielki pies, oprzytomniawszy rychło z osłupienia, rzucił się wściekle naprzód, chwycił kłami delikatną i pulchną rączkę dziecka i ugryzł ją tak dotkliwie, że krew trysnęła z niej, jak woda z gąbki. A na ziemi natychmiast utworzyła się wielka, czerwona kałuża.

Siedmioletnia dziewczynka krzyczała, ale nie cofnęła się nawet na

piędz. Trwała, jak słup graniczny, pomiędzy przerażeniem zwierzątkiem, a wściekłą bestją, wrosła, zda się, w ziemię, niezwyciężona, dopóki nie przybyli ludzie z kijami i batem...

Początek był niezły. I nikogo to nie zdziwiło, kiedy w dwanaście, czy piętnaście lat potem, zawsze wierna swemu powołaniu, poślubiła żołnierza. Prawdziwego.

Był to kapitan piechoty kolonialnej. Już wam o nim opowiadałem. Znałem go w dosyć osobliwy sposób. Zabrał ze sobą żonę najdalej jak mógł, do Habonu, do Senegalu. Mało tego. Gorsze było to, że w bitwie pod Casameną dostał kulę w pachwinę i ordynans zabrał go z pola z poważną raną; właściwie mówiąc — umierającego.

Dostawił go do domu. Ze zwykłymi ostrożnościami postanowiono uprzedzić żonę.

— Czy pani wie?... Jest ranny, ...ale lekko... bardzo lekko...

Przerwała pocieszycielom.

— Zabity?

Zaprzeczone:

— Ale gdzie tam! Niech pani patrzy, to on!

Ujrzała. Twarz woskową, oczy zamknięte, wpadłe policzki.

Inteligentny chirurg uważał za stosowne dać wyjaśnienia:

— Rana znajduje się zbyt wysoko ...amputacja naprawdę jest niemożliwa...

Zmierzyła go wzrokiem.

— Niemożliwa — ja myślę! Wolę przecież, żebyście mi go uratowali z obydwoma nogami.

I tak się stało.

W jakieś sześć lat później urodził im się dzielny i tegi chłopak; naturalnie i on i ona, mąż i żona, matczka i ojczulek, uwielibiali go. Wybuchł tyfus i malec rozchorował się. Nie na żarty. Porządnie. Wezwano najlepszego, miejscowego lekarza.

— Hm!... — powiedział — stan poważny.

— Doktorze! — odrzekła — uczyni, aby wszystko obróciło się na dobre.

Zrobił jak najlepiej. To znaczy wszystko, co mógł. Ale to było za mało. Malec osłabł, poprawił się, znów opadł na siłach, umarł.

— Doktorze, — rzekła — dziękuję ci pomimo wszystko. Zrobiłeś, co było w twojej mocy.

Mieli jeszcze jednego syna, młodszego o sześć lat. Kto wie? może to ten właśnie, co pisze niniejsze opowiadanie...

A po sześciu latach i ten zachorował z kolei. Gorączka tyfoidalna, taka sama. Matka wezwała lekarza. Tego samego.

Mówiono jej:

— Ależ on zabił ci starszego syna!

Odpowiedziała:

— Bóg mi go dał. Bóg go zabrał. Bóg mi dał i tego. Może go nie zabierze. Miłosierdzie Jego jest nieskończone.

I lekarz przybył. Ten sam, co niegdyś. I powiedział, jak wprzód:

— Hm!... stan poważny.

Malec osłabł, poprawił się, opadł na siłach. Lekarz robił wszystko, co mógł. Tym razem na dobre. Dziecko nie umarło.

A matka, która czuwała nad nim trzydzieści nocy, bez jednej godziny snu, westchnęła w upojeniu, gdy był uratowany.

— Bóg mi go dał, Bóg mi go zostawił. Może inny lekarz byłby go nie uratował...

Minęły lata. Z kolei umarł mąż i inni synowie. Pozostała sama z jednym dzieckiem, tem które pisze to opowiadanie, Zawsze była nabożną i pozostała nią do końca. Jej ostatni syn został żołnierzem. Dobra krew odezwała się. Ona, małżonka żołnierza, stała się matką żołnierza. To prawie na jedno wychodzi. Wystarczy aby się nie bać niczego, dosłownie niczego.

Miała już lat siedmdziesiąt, zawsze tęga i prosta; syn jej żołnierz, stał załogą w Brest. W tem mieście schody nie są oświetlone ani przez okna, ani przez dach oszklony. Ciemno na nich, jak w piekle u murzynów.

Pewnego popołudnia, syn żołnierza był na służbie. Ona, jak przystało, w kościele, modliła się za niego. Modliła się przecież zawsze, tylko za drugich. Pocóż modlić się za siebie? To byłyby modły zgoła zbyteczne.

Była już pewno trzecia po południu. Po przekroczeniu bramy ogar-

niały człowieka takie ciemności, jakby to była trzecia po północy. Otworzyła drzwi, weszła, zamknęła je za sobą i postawiła dwa kroki, szukając poręczy po omacku.

Wówczas natknęła się na coś ruchomego. Pomacała i rękami rozpoznała przedmiot. To był wisielec. Łajdaczyna, robotnik bez pracy nie miał nic lepszego do roboty, jak powiesić się w klatce schodowej, przed samymi drzwiami. Prostu komuś pod nosem.

Poomacku poznała. Naprawdę nie wiem, co byście zrobili na jej miejscu. Ja sam nie wiem, co bym zrobił. Ale ona się nie wahała. Pochyliła się nieco, wzięła wisielca w pół, uniosła go w górę, ażeby rozluźnić sznur, a dopiero wtedy zaczęła wołać:

— Do mnie ludzie! Na pomoc!

Przyszli ludzie. Zdjęli z haka wisielca. Jeszcze dyszał. Wyłowiono go z otchłani śmierci, w której już się pluskał. Uratowano go. Właściwie, ona go wyratowała. Zapomniałem dodać, że była bardzo biedna. Ani grosza przy duszy. Ale dla wisielca znalazła pieniądze, żeby się drugi raz nie powiesił i zasmakował znów w życiu.

A ona żyła dalej. Mówiłem już, że nie bała się niczego.

To była żona żołnierza. I matka żołnierza. To była żona żołnierza. Ta najdostojniejsza.

Moja matka...

Atlantyk, 1919, na pełnym morzu.



2)

M A R J A D A B R O W S K A

B R Z Y D K I E M I A S T O

(D o k o Ń c z e n i e)

W myślach swoich widzę już te ulice wybrukowane gładko, domy otynkowane, szyby czyste, ludzi schludnych, nowe przepiękne gmachy, skwery pełne kwiatów, podwórza białe i uwite zielenią, całe miasto Białej Rusi, uczynione pięknym przez nas właśnie, a gwoli radości tamtejszych ludzi i dumie Rzeczypospolitej.

Białystok ma wszystko dane na to, żeby stać się bardzo pięknym, — stosunkowo tanim kosztem. Posiada on to, czego niema Warszawa — szerokie perspektywy, luźne przestrzenie, dużo zieleni drzew, nie potrzeba go nazbyt przebudowywać. Lecz ta sprawa musi stać się przedmiotem czyjejs ambicji. Ambicja rządu może zrobić dużo, lecz bynajmniej nie wszystko. W piękności, i ucywilizowaniu Białegostoku trzeba zainteresować tamtejszą ludność. Mogą to uczynić: samorząd miejscowy, oraz instytucje kulturalne i oświatowe. Powinny to uczynić. A więc uczynią, rzecz prosta. A wzory? O co się oprzeć? A o stary Białystok oczywiście.

O to czarujące miasteczko, które powstało na gruncie wsi darowanej kiedyś przez Jana Kazimierza Stefanowi Czarnieckiemu. O resztki pałacu Branickich tak pięknego, że go nazywano Wersalem Podlaskim. „Czytamy“ przecież, że Białystok był kiedyś jednym z najpiękniejszych miast Polski.

Piękność ta została przez niewolę przerwana, trzeba do niej nawiązać. Pozostała ona w szczątkach, zapchana w kąty, zapomniana — lecz istnieje, czcigodna i staropolska, pod nową warstwą, którą przyniosła niewola.

RYNEK i PAŁAC.

Oto je mamy, owe miasto pełne czaru, jakim był Białystok w osiemnastym wieku.

Kapryśna i niepewna pogoda zaświeciła na sposób wiosenny — i pojaśniały w niej resztki starego Rynku. W obszarach nieba i powietrza stoi biała piękna wieża zegarowa, zbudowana przez hetmanową Branicką.

Wyrasta z pośród kramów, otaczających ją ściśniętym czworobokiem. Te niskie kramy, kryte dachówką, białe, śliczne, łączą się ze sobą arkadami bramek niczem splecionymi ramionami.

Na skraju rynku po za obrębem chmur, w zupełnej szafirowej pogodzie stary odwach, pod swym karmazynowym dachem, w kolumnach ganku, ze srebrnym uśmiechem szyb na białej ścianie, wygląda na dworek pełny dyskretnego wdzięku. I stary kościółek z dachem spadzistym, z małą dzwonnyczką w kołpaczku, z kawałkiem muru i furtki, jest jak urwany fragment czegoś przepięknego, zaniechanego, straconego na zawsze. Bo nie jest jego dalszym ciągiem drapiąca czerwień nowego gotyckiego kościoła o „chimerach“ wbitych w wieżę, jak sztywne gwoździe, bez przekonania, bez wewnętrznej potrzeby.

Godność i starą kulturę reprezentuje za to „Stary Hotel“ (po Rycu najlepszy) dawny dom zajezdny Po-

tockich — niski, obszerny, w samej rzeczy już ze swego wyglądu *gościnnie*.

Stąd niedaleko do pałacu, w którym teraz mieści się województwo. Piękna brama została chyba przez Rosjan „ozdobiona“ czemś w rodzaju obrzydliwej zielono-burej wieżyczki — z zegarem, który nie chodzi.

O pałacu nic prawie nie daje się powiedzieć. Przez jego mury przewija się zaledwie niewyraźna idea dawnej piękności. — Pozatem zartato wszystko, zbanalizowano. Za pałacem szczątki parku. Wysoko drzewa czarne i nagie huczą od wiatru, co młota się między niemi. Dostojne szczyty są dziś całe w gniazdach wron, a park cały w ich ponurem krakaniu.

Przy prostych alejach stoją przesłiczne posągi barokowo - greckich radosnych bóstw.

Trwają mężnie, cierpliwie i niezłomnie pod ciosami lat, zaniedbania, zapomnienia i wzgardy, jaką dla ich piękna okazują całe pokolenia.

Uśmiechają się, mimo, że ogłuchły od krakania wron, i oslepiły od ich kału. Uśmiechają się, mimo, że obrzydło im wszystko, na co tu patrzeć musiały przez tyle czasu. Gdy znikły oczy, uśmiechają się ustami, gdy deszcz odłupał usta, wyrażają radość dłonią, ramieniem, szczątkiem samych siebie, w którym drży jeszcze zaklęty sekret piękności.

Ta sama radość naprzekór wszystkiemu bije z rokokowych sfinksów, w koafiurach z osiemnastego wieku, i strojnych zarzutkach z tego czasu. Na lwich grzbietach sfinksów figlują rozkoszne dzieciaki, a piersi potworów, są piersiami „dam swywoalnych“ płonąciami od grzesznych chęci, mimo że pokrył je mech.

Były tu kiedyś teatry, pawilony, sadzawki, cuda. Została ze wszystkiego stara niska balustrada i dna jezior, na których sadzą kartofle.

Aby zniszczyć tę precudną siedzibę magnatów nie potrzeba było wcale rewolucji socjalnej, żadnego bolszewickiego kataklizmu.

Właściciele tych dóbr, Potoccy, sukcesorowie Branickich uporczywie starali się zbyć je monarchom państw zaborczych. Więc najpierw sprzedali je królowi pruskiemu z tem, że wejdzie w posiadanie po śmierci starej hrabiny Branickiej. Gdy stara hrabina przeżyła najazd pruski, Potoccy sprzedali Białystok powtórnie cesarzowi Aleksandrowi pierwszemu. Ten chciał go sobie odnowić na letnią rezydencję. Wyzaczył komisję, która postarała się o to, że meble

i wszystkie dzieła sztuki zostały rozprzedane po całym świecie, dach miedziany zerwano i z przybytku wspaniałej kultury zrobiono ruinę, mury bez dachu, zaciekające od słoty. Park i Pałac Białostocki powinno się wziąć w opiekę, odrestaurować, i uczynić z nich siedzibę muzeum ziemi podlaskiej.

ULICA WARSZAWSKA i BOJARY.

Na dziedzińcu pałacu żegnają nas dwaj czarni Herkulesowie, z których każdy walczy niezmordowanie ze swą hydrą. Mijamy „Ryca“ i nowy park i zostawiamy za sobą pyszne drzewa majestatycznej ulicy Mickiewicza. Na Pałacowej wkraczamy już w obszar niziutkich domków staroświeckich.

Wnet dotarliśmy do Warszawskiej.

W zabudowaniu przestrzeni aż pod niebiosą może być siła, tętno skłębionego wysiłku, natężonego życia — lecz tam, gdzie w nowoczesnych dzielnicach spotykamy tylko karykaturę tego wszystkiego, tam napawamy się poprostu widokiem pięknej niskiej staroświeckiej ulicy. Taka jest właśnie ulica Warszawska w Białymstoku, mało tknięta nalotem rosyjskiego barbarzyństwa.

Perspektywa jej dachów stanowi sama w sobie mały poemat. Jej zygzakowaty, łamany zarys wkracza w obszary nieba karbowanym grzbieciem dachówek, jak chimeryczny, wijący się smok z bajki — smok nie niebezpieczny, a przypominający nam czary dzieciństwa. Wschód wkroczył tu gdzieś tylko z barwami swemi. Oto domeczki piernikowe, oto domeczki czerwone, żółte, zielone i białe. Lecz w miarę jak idą lata, białych jest coraz więcej.

Tutaj, patrzcie, wsunięte w głąb ulicy stare gimnazjum, gmach zbudowany na szkołę jeszcze przez Komisję Edukacyjną. Naprzeciwko domy półpałacowe, każdy ma obok siebie swą bramę z czerwonym daszkiem. Tutaj małe sklepiki z oknami w pomarańczach — tu brzeg ulicy wysy-

pany piaseczkiem — tam staroświeckie piwiarnie. I tutaj są brudy, i tu są paskudne podwórza. Ale niektóre z nich... Wstąpmy w bramę starej kamieniczki, nie pamiętam numeru, niepotrzebnie umalowanej na kawowo — i zostaniemy oczarowani. Każdy kamień w tem podwórzu wygląda jak osobno wymyty. — Zabudowania podwórzowe, oficyny, drwalniki, wszystko obrosło w przepyszne, przeszło chyba stuletnie dzikie wino, W głębi olbrzymi tajemniczy ogród, w całym tem otoczeniu jest przenikający, zaciszny urok.

Z ulicy Warszawskiej wszystkie bocznice wychodzi się na przedmieście Bojary.

Ileż to razy przynosiliśmy i rozpowszechniali wiadomości o angielskich przedmieściach ogrodowych, obojętnie mijając, nie widząc wcale takich samych piękności u nas. W tem i owem mieście, w zabitym kącie prowincji, na uboczu od tego, co znamy jako nasze miasteczka, tam gdzie się zaczynają szosy o uroczystym i wonnym cieniu zieleni, istnieją gotowe polskie wzory najpiękniejszych kolonij mieszkaniowych. Trzeba tylko chcieć tam sięgnąć i umieć stamtąd czerpać.

Takie są właśnie Bojary.

Kręte, półkoliste uliczki tej dzielnicy mają w swoich zarysach niewyrozumowany, a głęboko uzasadniony sens. Wszystkie ulice są w małych szarych opłotkach, wszystkie pod cieniem poważnych drzew.

Za płótkami wichrzy się bujna czupryna sadów — i na czarnych gałęziach pąki jaśnieją jak światełka. Zabawną osobliwością tego uroczego przedmieścia jest sposób, w jaki usadowiły się domki. Każdy z nich stoi nieco inaczej do ulicy. Te obróciły się do niej szczytem, owe frontem, inne troszeczkę bokiem.

Jakby ci różni spotykający się tu ludzie, Mazury, Podlasiaki, Białorusini nie mogli sobie jakoś odrazu miejsca znaleźć. Przydaje to nieco fantazji, — kaprysu i niespokojnego podniecenia temu zaściankowi pełnemu nieba, powietrza, prostych ludzi, łamanych dachów, ganeczków, facjatek, białych i szarych ścian. Wrócimy stąd o zmierzchu, gdy w wielkiej ciszy kroki przechodnia rozlegają się echem na trzech ulicach odrazu, gdy wnętrza domów stają się pomarańczowe od światła — a u wylotu uliczek zjawia się niepostrzeżenie olbrzymi księżyc w pełni.

W poprzednim numerze „Bluszczu“ wydrukowano mylnie przy tytule „Brzydkie miasto“ — nowelka (Przyp. red.)



1) NOWY PRZEKŁAD „BOSKIEJ KOMEDJI“

Tym, którzy są zdolni odczuwać rozkosze intelektualne, zbytecznym jest dowodzić, jak nieocenioną okrasą życia są one i ile głębokiej, a najszlachetniejszej radości mogą przyczynić. Ci uprzywilejowani, nie dość liczni niestety, wiedzą o tem aż nadto dobrze.

Na nieszczęście, i zdolność i umiętność tego odczuwania nie jest rozpowszechniona, a przyczyna takiego kardynalnego braku życiowego leży nietyle w małych uzdolnieniach, ile w braku kulturowania tychże ze szkoda własną.

Dziwnie obojętnie np. potrafi wiele osób przechodzić koło znaczących, nieraz wydatnych zjawisk intelektualnych, z dziwną łatwością zacierać je umiętnością i nie reagującą na nie zewnętrznie, a przypuszczalnie, i co gorzej, także wewnątrz.

Rezultat tego jest taki, że wiele śmiałych zamierzeń, wiele poczynań, prac, dzieł nawet, dla których za granicą naszego kraju znalazłaby się odpowiednia ocena, uznanie, a nawet entuzjazm, przepada u nas bez echa i bez wieści, gaśnie w następnej po urodzeniu chwili, ulegając niepamięci. Albowiem żadne zjawisko typu intelektualnego nie utrzyma się na powierzchni bez moralnej pomocy ogółu, bez oddźwięku, słowa poparcia, uznania, czy choćby zachęty. Milczenie zabija snadniej, niż wyrażona krytyka, protest lub oburzenie.

Lat nieraz trzeba na to, aby naprawić zło, zdziałane obojętnością ogółu względem tego, co warte było zainteresowania. I trzeba silnej ręki, co by podjęła z pyłu zapomnienia rzecz wartościową i narzuciła ją oczom, słuchowi lub mózgom wielu.

Takie refleksje nasuwały mi się nieraz odnośnie do wielu znanych zresztą wypadków z przeszłości w sferze nauki, literatury i sztuki, zdarzających się i w teraźniejszości w tej samej sferze.

Nasunęły mi się one powrotnie teraz z okazji godziny, spędzonej niedawno w Krakowskim Towarzystwie polsko-włoskim im. Dante Alighieri, w jednej z niewielkich sal uniwersyteckich, gdzie nielicznej grupce zebranych osób odczytywała pani Alina Świdorska wyjątki ze swojego, już na ukończeniu będącego przekładu „Boskiej Komedji“ Danta.

Zanim mówić będę o przekładzie, chciałabym uprzytomnić tym, którzy sobie może z tego nie zdają sprawy, czym jest przekład podobnego arcydzieła, jak „Boska Komedia“.

Nie mówiąc o rozmiarach¹⁾ poe-

matu, które same przez się są wystarczające na to, aby przekład tegoż musiał być pracą lat, arcydzieło to jest niezwykle trudne do oddania na inny język tak ze względu na treść, będącą wielką syntezą wiedzy i wrażeń ludzkich oraz dążeń intelektualnych, duchowych, społecznych, treść wymagającą zwłaszcza w niektórych częściach obszernych komentarzy dla jej zrozumienia—jak i ze względu na formę. Poemat jest pisany tercyną t. j. zwrotką, złożoną z trzech wierszy jedenastozgłoskowych o takim układzie rymów, że środkowy wiersz każdej zwrotki rymuje z pierwszym i trzecim następną.

Przytem jest to dzieło natchnionego geniusza, w którym kunsztowna budowa poetycka idzie w parze z głębokością myśli, a wdzięk i słodycz języka idzie o lepsze z mocą i majestatem słowa.

Trzeba dużego poetyckiego talentu, aby przenieść choć w części piękno oryginału w przekład na inny język i w tym innym języku dać jego odbicie.

„Boska Komedia“ tłumaczona była kilkakrotnie na język polski. Ostatnio tłumaczył ją prof. Porębowicz Przekład jego, klasyczny ponieważ w swej wierności i doskonale wzorowy jest niestety wyzuty z wszelakiego poetyckiego wdzięku, żywości i barwności słowa do tego stopnia, że czytanie go dla znającego oryginał jest nad wyraz przykre. Cudne słowo boskiego Danta w jego „sacratissimo poema“, grające melodją tak harmonijnych tonów, jak w najpiękniejszej muzycznej symfonji—ginie w tym przekładzie doszczętnie. Panuje natomiast jakieś inne, obce tamtemu zgoła, suche, twarde, bezwonne i nie dość barwne o zgaszonym wdzięku niedantejskie słowo, z którego czytelnik, nie znający oryginału, jeśli zdoła przeczytać w całości choćby jedną z trzech części poematu (w co wątpię) nie poweźmie o Dantem należytego pojęcia. Z Boską Komedią stało się tak jak z Iljadą w klasycznym przekładzie Dmochowskiego. Zaczyna się ją czytać z przejęciem, jakie wywołuje samo brzmienie tytułu nieśmiertelnego arcydzieła i po chwili odkłada się ją z wrazeniem nieokreślonego przygnębienia, powraca się do niej znów i znowu niebawem odkłada, by jeszcze raz spróbować—nie, niepodoba-

bną tego czytać: klasyczny przekład wraca na półkę—niech stoi, tam jego miejsce. A ty, spragniony arcydzieła czytelniku, ucz się chyba po grecku, jeśliś ciekaw prawdziwej, Homerowej Iljady.

Otóż, wracając do owej godziny, spędzonej w Towarzystwie im. Dante Alighieri w Krakowie, słuchałam czytanych przez panią A. Świdorską wyjątków z jej przekładu ze szczerą radością. Nareszcie, myślałam, nie znający oryginału będą mieli sposobność poznać Danta w żywym, poetyckim i muzycznym odtworzeniu, w przekładzie, w którym bogactwo i dobór słów, język polotny, a jędrny, polszczyzna piękna i szlachetna w brzmieniu, nie pozwala czytającemu wstawić czempredziej książki z powrotem na półkę!

Jakkolwiek całego przekładu nie poznałam dotychczas, jakkolwiek znam z niego zaledwie kilka pieśni, śmiem sądzić z tych kilku prób, że cały przekład stanie na wysokości zadania. Doprowadzenie go do jaknajwiększej ścisłości i wierności z oryginałem bez ujmy dla żywości stylu i poetyckości języka, co obecnie stanowi największą jego zaletę—stanie się już tylko kwestją czasu i dodatkowego trudu tłumaczki.

Wobec tego, co powiedziałam wyżej o niezmiernych trudnościach, jakie pokonać musi ten, kto się jął przekładem tego arcydzieła, nikt się nie zdziwi, że wyrażając uznanie dla osoby, która podjęła takie zadanie, apeluję o to samo dla niej do ogółu. Nadmienić tu muszę, że pani Świdorska jest powieściopisarką, że jest tłumaczką Kaina Byrona i Epipsychidjona Shelleya, że obok pracy literackiej, pracuje zarobkowo, zużytkowując swoją znajomość języków w korespondencji biurowej i referatach, pisanych w obcych językach, że poza tem będąc muzyczną (co znać w jej przekładzie) poświęca czas muzyce, że jednym słowem jest kobietą niepospolitej energii i znacznych uzdolnień, skoro zdołała przy tem wszystkim godziny wolne oddawać takiej pracy, jak tłumaczenie Boskiej Komedji i skutecznie ją prawie całkowicie w przeciągu, o ile wiem, niepełna trzech lat.

A teraz, nawiązując do moich refleksyj wstępnych, opowiem, jak odbył się odczyt pani Świdorskiej w małej salce uniwersyteckiej, zarezerwowanej dla Towarzystwa polsko-włoskiego.

Trzeba powiedzieć na samym wstępie, że prelegentka ofiarowała swój odczyt T-wu bezpłatnie, że odczyt ten był przeznaczony dla członków tegoż i zaproszonych gości. Cała zatem ofiarna uprzejmość była po stronie prelegentki.

c. d. n.

Marja Hornowska



¹⁾ „Boska Komedia“ liczy 100 pieśni. Składa się z trzech części, z których pierwsza „Pieńko“ zawiera 4730 wierszy, druga „Czyściec“ 4755 wierszy, trzecia „Raj“ 4758 wierszy.

Z CYKLU SYTWETEK.

DR. ZOFJA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA

(Z POWODU KSIĄŻKI „PRACA“ *)

Ostatnia książka dr. Daszyńskiej—Golińskiej „Praca“ jest w okresie naszego nowo ukształtowanego państwa niezbędna i musi znaleźć się w rękach zarówno młodzieży uniwersyteckiej, jak też i zawodowców: urzędników, przemysłowców, rolników, inżynierów, lekarzy, prawników, a przede wszystkim — polityków. Skrócona i spopularyzowana, powinna przez tanie biblioteczki dostać się do rąk ludzi, pracujących fizycznie. Tak dla ogółu koniecznym jest zapoznanie się z ustawodawstwem pracy, wniknięcie w jej dzieje i socjologiczne podstawy, zbadanie wszystkich związanych z nią zagadnień.

Książka ta związana jest tak ściśle z myślą przewodnią i trudem życia całego autorki, z najpierwszemi jej młodzieńczymi porywami, że niepodobna wspomnieć o niej, nie pomyślawszy o splocie wewnętrznych pobudek i zewnętrznych okoliczności, które ją stworzyły.

Mała Zosia Poznańska, dziecko pobożne aż do bigoterji i bardzo wyegzaltowane w uczuciach swoich, które później dopiero zaczęły szukać rozumowego oparcia dla prawd podawanych, od najwcześniejszych lat miała głębokie, samorzutne współczucie dla ludzi, pracujących fizycznie. Podlotek drobny, szczupły o delikatnym profilu, dużych szafirowych oczach i włosach, jak płaszcz królewski, nigdy nie chciała mieć ozdobniejszych sukien, o co stałe były starcia z matką. Chodząc do I i II klasy gimnazjum, zawsze śniadania swoje oddawała spotykanym po drodze biedakom. Na wsi robiła gorzkie wymówki ojcu swojemu, że robotnicy pracują w polu zbyt długo, jakkolwiek dzień ich roboty nie przeciągał się po za normę, przyjętą ogólnie.

To wielkie współczucie dla warst robotniczych pociągnęło ją do nauk ekonomiczno-społecznych, mimo iż w latach dziecięcych zajmowała ją specjalnie matematyka, do której zdradzała wyjątkowe zdolności, a później—przyroda.

Niezwykle bystry, rzutki, żywy i niecierpliwy umysł, przyszłej uczo-nej nie mógł zatrzymywać się wszakże długo na jednym etapie. Ciągłe czegoś szukała, ciągle gorączkowo rwała się naprzód, chciwa nowych prądów, ciekawa nowych ludzi i nowych krajów, budująca swój własny światopogląd na mocy przeżywanych wrażeń i wydarzeń.

Dlaczego nędza, głód, przepracowanie—te braki czysto materialne—

wzbudzały w niej zawsze stokroć większe współczucie, aniżeli cierpienia moralne? Klucz tej zagadki tkwił może w tem, iż nigdy sama nie знаła biedy, a na udrękę psychiczną miała dużo odporności w niemilknącej ani na chwilę pracy umysłu swego.

To zainteresowanie sferą robotników i zrozumienie konieczności naprawy warunków ich pracy zdecydowało o zawodowym kierunku najszej uczo-nej. Z tą wielką energią i niezłomną wolą, z jaką od lat najmłodszych kierowała swoim losem, dobierała sobie nauczycieli po za szkołą, odbywała już w 12 roku życia sama podróże koleją,—zadecydowała wyjazd swój zagranicę dla studjów naukowych.

Widzimy ją w Zürichu, gdzie otrzymała doktorat, gdzie studjując socjologję i ekonomję, prowadziła równocześnie wykłady z tej dziedziny w Akademji Humboldta i wydawała szereg prac w języku polskim i niemieckim z zakresu ekonomji społecznej, demografji, kwestji robotniczej i t. p.

W podróży swojej zagranicę spotkała się z dziełami Nietzschego, które ją olśniły. Usiłuje pogodzić teorię socjalizmu z tak dalekimi od niego przesłankami nadczłowieczeństwa. W końcu — dla wyswobodzenia się od zmyru refleksyj, pochłaniających jej umysł—pisze broszurę p. t. „Nietzsche i Zarathustra“ jedną z najpierwszych w Polsce o tym myślicielu i wtedy filozofja jego przestaje imponować jej. Uwielbia już tylko wielkiego artystę i poetę.

Nietzsche wywołał jednak przełom głęboki w zapatrywaniach uczo-nej ekonomistki. Przestała wierzyć w rewolucjonizm jako główny czynnik niezbędnych reform społecznych, zwróciła się natomiast ku ewolucjonizmowi i polityce społecznej.

Wybitna intelektualistka nie mogła zatrzymać się długo u progu wiary w możliwość powstania nadczłowieka. Przesłanki rozumowe wskazywały, że typ ludzki jest trwały od wieków, że zarówno etyka, jak i zwierzęcość instynktów zmienia tylko formę. W najdzikszych i najkulturalniejszych środowiskach są bohaterowie idei i jest człowiek — zwierzę. Reguluje stosunki tylko prawo i ster władz rządowych, broniąc czyste dusze przed drapieżnością bestji ludzkiej. Człowiek naszej starej ziemi nie zmieni się w anioła, lecz trzeba go chronić od pokus zwierzęcych. Za najważniejszą z nich uważa dr. Daszyńska alkohol. Stąd i poryw jej społeczny i kategoriyczny imperatyw intelektu wprowadził ją na drogę walki z tem źródłem klęsk i nieszczęść.

Członek honorowy Eleuterji i Przyszłości, zabiera głos na Kongresach antialkoholicznych, organizuje wiece, zawiązuje stowarzyszenia. A sprawa ta wiąże ją coraz ściślej ze sferą robotniczą, w tym środowisku bowiem usiłuje wykazywać najenergiczniej, jak bardzo upadła nałóg pijaństwa, jak obniża poczucie godności ludzkiej szczególnie usiłuje oddziaływać na kobiety i przez kobiety, przypisując im wpływ na postęp w kierunku ewolucji etycznej.

Kwestja kobieca—poza sprawą robotniczą i antialkoholizmem — należy do zagadnień, którym dr. Daszyńska-Golińska poświęcała zawsze dużo czasu i uwagi. Wielbicielka pani Rolland, wciągnięta przez P. Kuczalską—Reinschmidt w rydwan głównych pionierek ruchu kobiecego, walczyła o prawa wyborcze kobiet, o równą płacę za jednakową pracę, o ochronę macierzyństwa i t. p.

Do najwybitniejszych dzieł najszej uczo-nej należy: „Ekonomja społeczna“, oraz „Rozwój i samodzielność gospodarcza ziem polskich“, gdzie pierwsza z pośród ekonomistów naszych zajęła stanowisko samowystarczalności ziem polskich.

Ogółem uczo-ona nasza ma już za sobą jakieś kilkadziesiąt prac naukowych, nie ustając ani na chwilę w dalszych badaniach.

Widzimy, jak prostą drogą dążyła do stworzenia ostatniego w szeregu wydanych dotychczas dzieł swoich.

„Praca“ — to zsumowanie całej dotychczasowej działalności autorki na polu socjologii, zamyka okres dokonanych już wysiłków. Wojna ostatnia wywołała pewien zwrot w dotychczasowych pojęciach uczo-nej, uświadomiła jej bowiem w całej pełni znaczenie cennych wartości, jakie wnoszą w życie państwa i narodu sfery inteligentkie.

Nie ulega wątpliwości, że—o ile do wskrzeszenia Polski przyczynił się cały naród, o tyle do zorganizowania jej i wprowadzenia w nowe łożyska i nadania jej cech państwa, wróżącego wielką przyszłość, przyczyniły się głównie masy inteligencji naszej.

Rozumie to i uznaje dr. Daszyńska-Golińska, czemu dała wyraz niejednokrotnie. Zdumiewa się potęgą żywotności, jaką mimo błędów i zaniedbań i fałszywych kroków—wykazuje dorobek nasz w ciągu sześciu lat niezależności.

Więc oczekujemy pracy, któraby potwierdziła całą doniosłość obecnych zapatrywań autorki.

C. Walewska.

*) Zarys socjologii — polityki i ustawodawstwa pracy, Warszawa, E. Wende i S-ka, T-wo wydawnicze „Ignis“.

SZTUKI PLASTYCZNE

Celem sprawozdań ze „sztuk plastycznych“ nie jest omawianie treści dzieł wystawianych, lecz zorientowanie się w ich wartościach specyficznych: rysunkowych, czy malarzkich, w skali środków, jakimi rozporządzają artyści, w ich upodobaniach indywidualnych i w sposobach plastycznego uzewnętrzniania tych upodobań.

W dziele sztuki treść i forma zlewają się w jedno; jest to pierwszy warunek jego istnienia. Najbogatsza pod względem myślowym treść, ujęta w formę słabą, lub nieodpowiednią, wyrodzi się w dzieło chybione. Zresztą każda sztuka może operować treścią tylko w sobie właściwy sposób wybraną i ujętą, — malarstwo lub rzeźba nie mogą być rozprawą naukową, ani historją, ani też mową agitacyjną, aczkolwiek mogą czerpać matejał z odnośnych dziedzin. „Jak“, t. j. „w jaki sposób“ — jest to sprawa talentu artysty i jego artystycznego taktu.

Malarstwo daje utrwalony moment, zjawę wzrokową, zbudowaną z linii i barw, światła i cieniów. Ich wzajemne ustosunkowanie i rozmieszczenie decydują o odrębnym wrażeniu, które wywiera ta sztuka. Skala jej możliwości jest rozległa: od motywu dekoracyjnego, a — myślowego i t. zw.: „czystego malarstwa“ do bardzo nieraz nasyconych myślą — treścią kompozycji.

Sprawa, którą tu poruszam zleka, stanowi przedmiot dawnego sporu pomiędzy artystami, przedewszystkiem zaś pomiędzy artystami i „szerokim ogółem“, który chce, by obrazy działały nań jak teatr, lub kazanie.

Zrozumienie odrębności środków, jakimi rozporządza każda sztuka, stanowi o jej rozumieniu wogóle. W dziedzinę plastyki kierujemy się przedewszystkiem wzrokiem.

WYSTAWA W ZACHĘCIE

(Kwiecień — maj).

WYSTAWA ZWIĄZKU GRAFIKÓW POLSKICH.
STEFAN NORBLIN.

Wystawa obecna w Zachęcie nie przynosi nowych zagadnień malarzkich, tem niemniej ma rzeczy interesujące. Przedewszystkiem prace Związku Grafików Polskich i Salę Stefana Norblina.

Sztuka czarno-biała, wywodząca się od rysunku, przeszła wielką ewolucję środków technicznych i możliwości w posługiwaniu się kontrastem pomiędzy czernią, a bielą; w zależności od siły ich natężenia daje gamę złudzeń kolorystycznych, zaś dzięki pozornemu ubóstwu zasobów kryje w sobie czar niedopowiedzenia i rzu-

ca kanwę dla dopełniającej pracy wyobraźni. Grafika wyszła już dawno poza szranki ilustracji, stała się samodzielną mistrzynią o ogromnej ekspresji i dramatycznym napięciu. Rozporządza portretem, krajobrazem, scenami rodzajowymi, studjami, kompozycją. Rembrandt, Goya, Rubens, Brueghel i inni mistrze XVII i XVIII w. uprawiali szych narówni z malarstwem.

U nas, wśród współczesnych grafików berło dzierży Wyczółkowski. Na wystawie obecnej jest misterny, zwiewny i lekki w wykonanych tuszem i kredą gałęziach drzew, które szron okrywa najsubtelniejszą koronką.

W tej samej sali — Józef Hecht (miedzioryty i sucha igła) przemawia prostymi, prymitywnymi obrazkami o niby naiwnym rysunku i dzieciennie miłych pomysłach. Tło białe, zarys, trochę kresek; brak światłocenia; sam rysunek przypomina pierwsze drzeworyty, — lecz pomimo oszczędności środków obrazki te mają bardzo dużo ruchu i nastroju. Wąsowicz jest bardzo interesujący w czarnobiałych drzeworytach, odznaczających się bogatą, niespokojną grą światła i cieni, co daje piękne efekty kolorystyczne; rysunek jego jest bogaty i skomplikowany w zawiłościach fałdów i załamania. — Bartłomiejczyk, ilustrator „Dziada i Baby“ Kraszewskiego, spokojniejszy w rysunku i barwie od Wąsowicza, o wyraźnych kontrastach mocnej czerni i białego tła. — W. Rożen dał dobry portret dziewczynki; Jabłczyński szereg obrazeczków o wypracowanej, bardzo indywidualnej technice. — Zjawy Siedleckiego są malarckie i literackie; Stankiewiczówny sztychy, jak zwykle, bardzo sumienne i technicznie doskonałe.

Stefan Norblin uczynił niespodziankę swymi pracami monumentalnymi. Patrząc na te studia, akty i wielkie portrety doznaję wrażenia, że artysta odprostował się, odświeżył i zaczerpnął tchu dla otrząśnięcia się z grożącej mu przed paru laty jednostronności i maniery. Drobne jego, bardzo liczne kompozycje dawne, pełne Beartsley'owskiego wykwiutu, stawały się nużąco jednostajne i jednokowe, — były powtarzaniem siebie. Obecnie możliwości Norblina rozszerzyły się, aczkolwiek pozostaje przedewszystkiem rysownikiem, poszukiwaczem ruchu i linii. Portrety jego są mało wyindywidualizowane, mimowoli daje w nich typ, chociaż zdobywa się na wysiłek utrzymania się w granicach prawdy. — Więcej, żywiej od twarzy ludzkich mówią tkaniny, których blask, lśnienie, barwa, sprawiają przyjemność (śliczna czerwień parawanika na portrecie damy). — Norblin lubi po dawnemu bajkę, — jest w niej lekkość, finezja, pole dla imaginacji; to też jest mistrzem ruchu zwiewnego. (Choćliki wiosenny — jest dobry; ciężki góral, stojący mocno wśród złomów skalnych, nie udał się artyście).

Norblin czuje średniowiecze i zeszlowieczność. Lubi to, co jest charakterystyczne i nawet przesadzone, Boruta — ma charakter groteski; ilustracje do Tristana i Izoldy są pełne stylu. „Jakiś typ“ — to człowiek Stevensonowski z połowy XIX w., podobnie, jak „incroyable“ — obaj o krok od manjery. — Szkice Norblina wogóle, szkice zaś portretowe w szczególności, są bardzo dobre, oszczędne w ołówki, a jednak pełne treści psychicznej.

N. Samotyłowa.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO W STOLICY I KRAJU

Rozpląkała nam się wiosna na dobre, przez ciągle zalegające nieboskłon chmury zrzadka tylko przebijają się promienie słoneczne. Jak na widnokregu życiowym. A jednak nasze polskie życie przedziera się coraz odważniej poprzez przeszkody i zawady leżące na jego drodze; mnożą się coraz to nowe objawy naszej tężyzny i siły, dobrze wróżące o naszym dalszym rozwoju, o trwałości naszego bytu państwowego.

Oto uroczyście otwarcie Banku Polskiego. Instytucja ta ma nam zapewnić zdrową walutę, przeciwdziałając skutecznie fatalnym, dotychczasowym stosunkom, w których panowała się spekulacja, z krzywdą dla wolnej twórczej pracy. Przemawiają ci, co przyczynili się najwydatniej do zorganizowania tej placówki doniosłego, gospodarczego znaczenia. A więc najprzód minister Grabski, gorliwy wykonawca całego planu sanacyjnego, składa hołd tym wszystkim, co wysokim patriotyzmem i obywatelskiem poczuciem przyczynili się do szybkiego powstania banku, składając nań liczne ofiary. Dalej przyszły dyrektor instytucji, senator Karpiński przypomina ów moment z naszej przeszłości, gdy blisko sto lat temu, naród zniszczony przez wojny napoleońskie, dźwigał się zbiorowym wysiłkiem gospodarczym. I wtedy założono Bank Polski, a czynności jego przerwane na długie lata, dziś zostają na nowo wskrzeszone.

I mówca przypominał owe czasy rozkwitu Księstwa Warszawskiego, gdy odzyskaliśmy choć częściową samodzielność, a później smutne dzieje Królestwa, oddanego pod władzę rosyjską. A jednak i wtedy nie upadaliśmy na duchu.

„W 1828 r. a więc na dwa lata przed wybuchem rewolucji listopadowej, kraj był w stanie kwitnącej. Powstawały wielkie fabryki, jak Żywardowska, konta bankowe i inne, przez ówczesny Bank Polski finansowane. A więc nie jest prawdą jakoby nam polakom, brak było inicjatywy przemysłowej, wykazaliśmy wy-

bitne zdolności, i w tym kierunku nie mamy co obcym zazdrościć. Dziś przyszedł czas na wszechstronny rozwój w każdym zakresie pracy, której bank polski stanie się dźwignią. Polska stać się musi potężną siłą ekonomiczną“.

Po wygłoszonych mowach odsłonięto białą, marmurową tablicę, na której umieszczono napis następujący: „Państwo Polskie powołuje do życia w 1924 r. Bank Polski, jako ostoję ładu pieniężnego w kraju i jako wyraz duchowej łączności z przedwiekową tradycją instytucji tejże nazwy. Wyraża wdzięczność tym wszystkim obywatelom, którzy nie szczędzili ofiar na skarb narodowy“.

Tutaj nadmienić należy, że owych ofiar w srebrze i złocie zebrało się bardzo wiele, dały one podkład złoty naszej nowej walucie. Kobieta więc polska, składając na ołtarzu ojczyzny swoje ozdoby i błyskotki, przyczyniła się, w znacznej mierze, do uzdrowienia naszych stosunków ekonomicznych. Nie uczyniły jednak tego najbogatsze, najszczodrzej przez to obdarowane, ale znów owa niezamożna warstwa czującej jednak głębiej i myślącej poważnie inteligencji. Niektóre z kobiet naszych, jak p. Demelówna np. oddały się gorliwie propagandzie zbiórki na skarb narodowy. Rezultatem tych wszystkich usiłowań jest, że nasz „złoty“ stoi bardzo wysoko, znacznie wyżej niż frank belgijski i francuski, a nawet przewyższa w cenie frank szwajcarski, a zawdzięczamy to jedynie ofiarności naszych obywateli.

Mamy wad dużo, nie brak nam jednak szlachetnych porywów, a także i nierzadkie są u nas objawy prawdziwie serdecznej dobroci. Daliśmy jej dowody przy powitaniu jednomyślnem i nader entuzjastycznym, arcybiskupa Cieplaka, a także przyjmując stukilkunastu repartjantów naszych przybyłych z Rosji, uwolnionych świeżo z więzienia bolszewickich. W radości jednak naszej z odzyskania czcigodnego pasterza, nad którego losem ciężko bolała cała Polska, nie zastanowiliśmy się, co oznaczało owo zwrócenie nam go przez rząd bolszewicki. Odkrywa tą tajemnicę poważny „Czas“ krakowski. Oto świadczy to ni mniej ni więcej jeno o stanowczej likwidacji katolicyzmu w Rosji. Perfidny rząd komunistyczny sądzi, że pozabawiając paromilionową ludność katolicką jej ukochanego pasterza, skłoni ją tem łatwiej do przyjęcia zasad bolszewickich, porzucenia katolicyzmu i polskości. Z jakąż radością wracali więc do kraju ci, których wymieniono na bolszewików, przyłapanych na agitacji i szpiegostwie w Polsce, a następnie przez nasze władze uwięzionych. Witano ich hymnem narodowym przez orkiestrę odegranym, uroczystymi przemówieniami. Znalazły się też organizacje, które zajęły się ich wyżywieniem i umieszczeniem. Bo pań-

stwo polskie niestety, nie może odpowiedniami wygodami otoczyć swoich powracających dzieci. Baraki na Powązkach, w których repatrijanci przebywają czasowo, zanim sobie nie znajdą zarobkowego zajęcia, przedstawiają się nader smutno pod względem czystości i kulturalnych urządzeń i głosy prasy nawołują żywo społeczeństwo do zajęcia się losem tych, co tam są zmuszeni przebywać.

Pogodnie i radośnie za to za jaśniał nam dzień 3-go maja, w którym to święcimy jedną z najdroższych pamiątek: ocknięcie się ducha narodowego z marazmu i poniżenia, żywe dążenie do naprawy stosunków, do sprawiedliwości społecznej. Natura, jakby sprzyjała tym aspiracjom, zawsze nas bowiem obdarza promieniami słonecznymi w tym dniu niezapomnianym. I tego roku oświecały one jakby glorią, wyległe na ulice tłumy i uroczysty pochód, który jednak nie był tak liczny i wspaniałym jak innych lat, a szczególnie 1916 r., w czasie okupacji niemieckiej. Wtedy jednym zgodnym czynem naród zamifestował swoją siłę i odporność, wykazał, że żyje i żyć chce wolny i niepodległy.

Tegoroczny pochód urozmaicił przyjazd licznej grupy włościan podkrakowskich, przybyłych do stolicy w swoich barwnych strojach, które, niestety, już coraz więcej zanikają. Wkrótce widywać je będziemy tylko w muzeach lub na obrazach. W pochodzie przedstawiono wesele krakowskie, jadące na wozach, co świadczyło, że cały występ został reżyserowany przez inteligentów, a nie był tylko ludowym, spontanicznym odruchem.

W Poznaniu przyjmowano bardzo uroczysto Prezydenta Rzeczypospolitej, odwiedzającego tamtejsze Targi, oddawano mu cześć niemal królewską, co świadczy o dawnych zakorzenionych tam zwyczajach. Godnym najwyższego uznania jest rozwój rodzimego przemysłu wielkopolskiego, w zakresie lotnictwa, szczególnie wagonów i t. p. Dowód to, jeden więcej, że możemy się uniezależnić gospodarczo od Niemców.

Jakże daleko nam jest jednak jeszcze od tego bezinteresownego altruizmu, jaki wykazała Ameryka względem narodów, dotkniętych srogo działaniami wielkiej wojny, a potem jej pokojowymi następstwami.

Odwiedzał niedawno Polskę dr. Mott prezes wszechświatowej Y. M. C. A., która i u nas tak wiele dobrego zdziałała w zakresie opieki nad żołnierzem, a potem nad zaniedbaną młodzieżą rzemieślniczą. Na bankiecie dla dostojnego gościa urzędowym, obecny minister wojny, generał Sikorski, obdarzył go orderem Polski Odrodzonej, przy stosownym przemówieniu. Słowa dr. Motta wyrzeczone w odpowiedzi były nader charakterystyczne. „Widziałem waszą ojczyznę w chwilach najkrytyczniejszych, wte-

dy, gdy naród musi o sobie powiedzieć całą prawdę. Wykazała ona tak wielki zasób sił żywotnych, że potrafiła przełamać wszystkie trudności. Amerykę łączą z Polską wspólne ideały: tolerancji, wolności i demokracji, łączą ją też miliony rąk pracujących dla niej polskich emigrantów, dlatego też oddając organizację Y. M. C. A., stworzoną przez Amerykę, w ręce polskich działaczy, sądzę, że będzie ona jedną z najsilniejszych. Wasza młodzież wniesie bowiem do niej siłę waszej bogatej indywidualności.

Polska przez swoją historję, przez bohaterstwo i poświęcenie swoich synów, zdaje się być przeznaczoną na pośredniczkę, w tyle upragnionem zbliżeniu się i pojednaniu narodów“.

Trudno o bardziej podniosłą i pochlebną dla nas zapowiedź.

I. W. K.

IV TARG POZNAŃSKI

Poznań, miejsce bogatego pokazów przemysłowego i artystycznego, na terenie IV Targu Poznańskiego, zaczyna pod wpływem coraz cieplejszego słońca wiosennego, wywodzić na jaw piękno swe niezaprzeczone. Przytłaczający i smutny zimą, na wiosnę roztacza urok wszechwładny, ukryty w masie zieleni, szerokich niezabudowanych przestrzeniach pełnych drzew i uprawnych ogrodów, a leżących wśród najludniejszych dzielnic, o typie mieszkaniowym, gdzie sklep jest białym krukiem, a na otoczenie pełne spokoju i estetyki, składają się nowoczesne komfostowe domy oplecione zielenią.

Każdy z nich z mniejszym, lub większym ogródkiem, do mieszkańców parteru należącym, a połączonym z mieszkaniem balkonem o stopniach prowadzących wprost między gustownie przystrojone i starannie utrzymane kwietniki. Taką jest cała ulica „Lazarz“ zwana, część Jeźyc z ulicami Jasną, Mickiewicza i Słowackiego i wiele, wiele innych.

Najpiękniejsze z całego Poznania, a w samym sercu miasta, bo zaledwie o parę minut od Placu Wolności położone są Wały Wazów, Wały Leszczyńskiego, ulica Wesola, Al. Chopina. Wszystko zabudowane pięknymi, prywatnymi willami, otoczone ogrodami, przylegające do wspaniale utrzymanych plantacji miejskich, pełne słońca, zieleni, szerokiego oddechu i dalekich, dalekich horyzontów.

W chwili obecnej do najczęstszych widoków należą dzieci i kobiety zatrudnione w ogródkach swych, przy uprawie ziemi lub podlewaniu i okopywaniu posadzonych już, wczesnych kwiatów. Poprzez drzewa i krzewy posyłam zazdrosny wzrok ku właścicielom tych ziemskich rozkoszy, którzy przy akopanjamencie dzwonek tramwajowych, turkotu dorożek,

donośnych sygnałów samochodowych, oddzieleni zaledwie żelaznymi prętami od zgiełku miasta, zrywają na trawnikach i grządkach całe masy fiżolków, któremi ogródki są formalnie usiane.

Słyszysz się niejednokrotnie narzekanie na szarżyznę i jałowość w Poznaniu. Jak wiele jednak wynagrodzić może taki odpoczynek, po pracy, wśród wyhodowanych własną ręką krzewów i kwiatów, w słońcu, najmniejszego chociaż kawałka ziemi, do którego się sercem przyrosło.

Wygląd wielkiego ogrodu dają jeszcze miastu liczne cementarze, które dawniej, na krańcach położone, dzisiaj, z powodu szybkiego rozrostu Poznania, tworzą pośród ruchliwych, zamieszkałych dzielnic oazy zieloności, woni i powietrza.

Na tym terenie budzącego się piękną, wiecznie równego i spokojnego trybu życia, w ostatnim tygodniu przelewał się wartkim prądem napływ całej masy przyjezdnych, których przywiódł do bram grodu Przemysława—IV Targ Poznański.

W dniu 27-m kwietnia uroczyście przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej otwarty, dał wszystkim zwiedzającym obraz ogromu pracy i owocnego wysiłku.

Zgromadzono w imponujących ilościach maszyny wszelkiego typu, narzędzia rolnicze, ekwipaże, wyroby metalowe, kuchenne, koszykowe. meble, zegary, obuwie, galanterję, skóry instrumenty muzyczne, wyroby włókniste, przetwory chemiczne, spożywcze, porcelanę z wytwórni krajowych z Ćmielowem, Chodzieżą i Pacykowem na czele.

Wspaniałe dywany Bielskie, na wzór kaukaskich, perskich, turecko-anatolskich i centralno-azjatyckich, ręcznie tkane od 85 do 100.000 wiązań w metrze kw. wykazujące, wskrzeszają godnie dawną tradycję polską, zważywszy, że już w 18-m wieku na Wołyniu, w Sławucie i Słuczu orientalne kobierce i pasy złotolite wyrabiano!

W imponującej masie nagromadzonych eksponatów, zatrzymywała oko wysoce artystyczna, ręcznie malowana porcelana specjalnie z Limoges (Francja), na Targi P. przywieziona, która wzbudziła żywe zainteresowanie, tak publiczności, jak i hurtowników. Oryginalne i ciekawe wyroby zademonstrowała fabryka „Kryształco“: (Mysłowice): Są to bombonierzy, abażury, kwiaty sztuczne i kapelusze z włókien szklanych, bardzo efektowne i estetyczne.

Na uwagę zasługują też meble trzcinowe (pedychowe) fabryki w Nowem Pomorzu, o artystycznym wykonaniu i pomysłowych, niepowtarzających się fasonach. Z punktu widzenia wytwórczości kobiecej IV Targ Poznański dał kilka ciekawych dowodów owocnych wysiłków i pracy.

Bezwzględnie pierwsze miejsce należy się pani Komendzińskiej z Zakopanego, która zatrudniając 30 pracowników, tak z inteligencji osiadłej w Zakopanem: (przeważnie zniszczonej i wykolejonej przez wojnę), jak i góralek, przywiozła na Targ Poznański okazy prawdziwie artystyczne. Wśród licznych eksponatów, jako to: guńiek serdaków, pantofli, lalek, wspaniałych haftów i aplikacji na suknie etc. na pierwszy plan wysuwają się biało lakierowane meble koszykowe, których siedzenia i oparcia białym sukniem, o barwnym hafcie, wysłano.

Pani H. Moczulska: (też Zakopane), której wytwórnia zaledwie rok egzystuje, wystawiła pokaźną ilość haftów typowo zakopiańskich i pantofli o udoskonalonym typie.

Ochrona dziewcząt Dubno—Wołyń, pod kierownictwem zakonnicy pozostająca, dała dowód wysoce artystycznego kierownictwa i sumiennej pracy. Hafty kościelne, koronki siatkowe, witraże, a zwłaszcza koronki point a-l'aiguille o cudownych wzorach i misternym wykonaniu, przynoszą zaszczyt tak kierownictwu, jak i pracownikom.

Wyrazem celowej, sumiennej i umiejętnej pracy był pawilonik p. J. Winowiczowej, która w myśl, tak wszechwładnej mody „trykotowej“ wyrabia ręcznie: dzempry, swetry, kostjumi, suknie i konfekcję dziecięcą.

Poznańska fabryka kołder przez panie Kroczyńskie prowadzona, odznaczała się wśród wielu z tej dziedziny eksponatów, wyrobami eleganckimi, dokładnymi i znamiona gustu w doborze barw i materji noszącymi.

Pani Jadwiga Gramcewiczowa wystawiła bogaty dobór artystycznych haftów kościelnych i zdobniczych, z wytwórni swej, zatrudniającej liczne rzesze pracownic, pod własnym kierownictwem wyszkolonych.

Wszystkie eksponaty o wysokiej wartości artystycznej. Wreszcie obszerniej pomówić muszę o dwóch placówkach, łączących w sobie wytwórczość z wysoką i szlachetną ideą społeczną.

Pani drowa Magierowa: (Poznań Niegolewskich 10): wchodząc w położenie licznych, młodych Górnoślązaczek, z Górnego Śląska, pod panowaniem niemieckim pozostającego, które albo wrócić nie mogą, albo też straciły rodziców w walkach powstańczych i są dzisiaj bez środków do życia, dachu nad głową i opieki—gromadzi dziewczęta te i oddając im u siebie, pokój na pracownię, a częstokroć i mieszkanie, wyucza najrozmaitszych robót, jako to: koronek klockowych, szycia bielizny, fartuchów, fartuszków dziecięcych, wyrobów z łyka, pantofli etc. Panienki lepiej wyszkolone umieszczają w pracowniach, niejednokrotnie wy-

rabia im miejsca na wyjazd i roztańczając serdeczną opiekę, daje możliwość egzystowania o własnych siłach. Wyroby zgromadzone przez panią Magierową, która zatrudnia obecnie 27 dziewcząt, świadczą o sumiennosci, z jaką się jej pracownice z podjętego zadania wywiązują.

Pani Profesorowa Dobrzycka: (Poznań ul. Matejki): nie mogąc z powodu obowiązków rodzinnych oddać się pracy społecznej po za domem, gromadzi u siebie grono dziewcząt od 14—16 lat, które uczy bezpłatnie ścięgu koronek „filet“. Dziewczynka o średnich zdolnościach, po trzech miesiącach zaczyna zarabiać wykonywaniem ładniejszych wzorów — po dziewięciu miesiącach, do roku, wychodzi, jako zupełnie wyszkolona pracownica.

Pani Dobrzycka, która pracownię swą prowadzi zaledwie dwa lata, z radością dzieli się ze mną, w łaskawie mi udzielonej rozmowie, wieścią, że kilka z jej uczennic założyło już na własną rękę, wytwórnię koronek „filet“—stwierdza też wysoce uszlachetniający wpływ, jaki ta czysta estetyczna i artystyczna robota wywiera na dziewczęta. Jednostki o typie odpornym na szlachetniejsze wpływy odpadają w pierwszych tygodniach, u typów podatnych wkrótce ujawnia się wielkie zamiłowanie do podjętej pracy i wysubtelnienie.

Pani Dobrzycka do dzieła swego, pełnego trudów i przeciwności, odnosi się ze szczerem zapalem. Pracy swej nie oblicza na dochody materialne. Spieniężając wyroby uczennic kalkuluje tak, aby wynagrodzić ich pracę, opłacić kasę chorych, podatki etc. Charakterystycznym jest, że pracownia o typie wyszkalającym i zakroju społecznym od 13 miljonów dochodu, za rok obrotowy 1923, zapłaciła podatku dochodowego i przemysłowego 100.000.000 mkp. Pani Dobrzycka jako jedyna kierowniczka i instruktorka swej wytwórni, a przytem matka i pani domu, skarży się na trudność znalezienia czasu, celem „wydeptania“ odpowiednich ulg dla dzieła swego. Początkowym odbiorcą koronek była firma Herse w Warszawie, jednak, wysoki gatunek i wartość artystyczna koronek wyrobiły im momentalny zbyt na miejscu, a zapotrzebowanie jest stale większe niż ilość arcydziełek, z pracowni pani Dobrzyckiej wychodzących.

Na zakończenie nasuwają mi się charakterystyczne słowa Jana Jakóba Rousseau, który powiedział o Polakach: „Jest to naród; który można zjeść! Strawić—nigdy!“

I oto IV Targ Poznański jest widowym dowodem głębokiej prawdy, zawartej w pamiętnych słowach mistrza!

Wanda Dobrzańska

Poznań w maju 1924 r.

Na polach pracy i twórczości

NAGRODZONE KRZYŻAMI OFICERSKIMI ORDERU „POLONIA RES-TITUTA“.

W dn. 3 maja r. b. odznaczenia Polski odrodzonej otrzymały Marja Rodziewiczówna i Olga Boznańska.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

Najpopularniejsza bodaj ze współczesnych powieściopisarek naszych rozpoczęła swą pracę twórczą w dobie dla narodu najcięższej, najcięższej zwłaszcza dla podległych specjalnemu uciskowi ziem kresowych.

Niedola tego kraju, wyjąłowane, pół martwe jego bytowanie pod ciężką, walącą weń nieustannie maczugą barbarzyńcy, znalazło żywe odzwierciedlenie, o ile naturalnie było to możliwym przy cenzurze rosyjskiej, w utworach Rodziewiczówny. „Dewajtis“ opowiadał o zanikaniu polskości, o wynaradawianiu się dziedziców świetnej ongi kultury na rzecz panującej dzicy. „Hrywda“ malowała ciemnotę, zabobony i nędzę miejscowego ludu, rozpaczliwy beznadziejny stan, w którym utrzymywała go administracja rosyjska i cerkiew prawosławna. „Szary Proch“ informował o podziemnym życiu Litwinów, katolicką swą wiarę i mowę ojców przechowujących kryjomo, przemycających z Prus molitewniki, drukowane łacińskimi literami, broniących po bohatersku tej kultury zachodniej, którą im przed wiekami zaszczytliwi Jagiellonowie.

Przerzucając karty tych trzech najwybitniejszych pod każdym względem powieści Rodziewiczówny, uderza nas, iż nie tylko polską powieściopisarką nazwać ją się godzi. Stojąc na stanowisku dawnej Rzeczypospolitej, tem samem uczuciem miłości i żalu ogarniała ona wszystkie szczyty, zamieszkujące nieszczęsną krainę opuszczonych mogił i powalonych krzyżów.

Rozpacz wiałaby czarną chmurą z tych powieści, gdyby nie złoty optymizm autorki.

Zarzucono jej nieliczenie się z rzeczywistością. I słusznie. Ale jej temperament twórczy, a może zaś świadome przecucie lepszych dni, nie pozwalało jej nakładać na obrazy swoje czarnych, jedynie tu właściwych, farb. Wbrew ludzimi i losom, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu życiowemu wali Rodziewiczówna twardemi łbami swoich bohaterów w grubą więzienną ścianę i o dziwo... ściana ustępuje czasami, a w każdym razie czytelnik otrzymuje tajną insynuację, iż nieco nadwerężoną została.

Była w tem i pewna, powszechnie wówczas przyjęta metoda, lekarsko-społeczna, nie powiększać depresji! dźwigać wątpliwych!

O wartość metody możnaby się spierać. Kto wie, czy otwarcie oczu na

straszną prawdę nie podziałałoby bardziej cucąco na ogół polski. A na pewno pogłębiłoby twórczość Rodziewiczówny i przydało artystycznych walorów jej powieściom.

Tak, jak one są, stanowią wszystkie razem interesujące zjawisko, które przyszyły historię duszy polskiej w niewoli, będzie musiał zarejestrować i będzie mu ono, niewątpliwie jednym z ważniejszych dokumentów.

Między innymi na przykładzie tym stwierdzono i ten smutny fakt, że w niewoli nawet wielkie talenty, jakim niewątpliwie był talent Radziewiczówny, nie rozwijają się prawidłowo i nie osiągają tego kulminacyjnego punktu, który w nich potencjalnie tkwi.

Rodziewiczówna talent swój, tak jak wielu innych pisarzy współczesnych, oddała w służbę sprawy polskiej. Twórczość artystyczną świadomie zamieniała w publicystykę.

Czy była to dobra gospodarka siłami twórczymi?

Wtedy wydała się obywatelskim czynem i obywatelskim obowiązkiem.

Ten poślubiony przez siebie obowiązek spełniła Rodziewiczówna, aż do ostatniej kropli na dnie smutnej czary.

I krzyż oficerski na piersi jej jest dobrze zasłużonym krzyżem.

OLGA BOZNAŃSKA.

Jeden z najwybitniejszych talentów malarskich współczesnej doby, talentów, chodzących własnymi drogami!

Olga Boznańska, rodem z Krakowa, tam rozpoczęła swoje studia malarskie. Potem Monachjum i Paryż. W Paryżu otworzyły się przed nią wszystkie tajemnice nowożytnej techniki malarskiej, owiało ją potężne tchnienie wielkiej sztuki.

Była zbyt silną indywidualnością artystyczną, by ulec niewolniczo wpływom i sugestjom. Pozostała sobą. Wypracowała własną oryginalną technikę i zdobyła uznanie kulturalnej stolicy świata.

Technika Boznańskiej polega na malowaniu plamami barwnymi. Na kartony swoje (nie maluje nigdy na płótnie) nakłada najpierw same jasne plamy i potem następują plamy ciemniejsze, potem jeszcze ciemniejsze. otateczny jest efekt taki, że obrazy jej wyglądają jakby płyty przesłonięte mgłą, „jak za muslinem“, mówią inni. A jednak nierysowane postacie jej portretów, (Boznańska jest prawie wyłącznie portrecistką) są doskonałe w rysunku, mimo przesłonięcia mgłą niesłychanie wyrazista, żyjące jakimś tajemniczym, własnym życiem.

Do najbardziej cenionych jej dzieł należy portret córki Zygmunta Miłkowskiego (Jeża) oraz malarza Bukowskiego. Po za tem portretowała cały wybitny świat paryski.

Dom jej w Paryżu jest ogniskiem wysokiej kultury artystycznej, nawiedzaniem licznie przez Polaków i Francuzów, przez wszystko, co pracuje

i tworzy na różnorodnych wzorach sztuki i literatury.

Jako człowiek, Olga Boznańska czaruje dobrocią, uczynnością i urokiem niepospolitej inteligencji wszystkich, którzy mieli sposobność zbliżyć się do tej niezwyklej postaci.

OPIEKA NAD WYCHODZĆCAMI.

Na zgromodzeniu walnem Polskiego Towarzystwa Kolonjalnego, które odbyło się dn. 4 maja, stwierdzonem zostało przez Komisję Rewizyjną, iż byt i niemal cała działalność pożytecznej tej instytucji opierała się prawie wyłącznie na pracy dwóch kobiet.

Członkini Zarządu p. Zofja Dąbska ratowała zagrożone często wprost w istnieniu swoim Towarzystwo „wydobywaniem pieniędzy z pod ziemi“. Czyniła to bezinteresownie, z wielkim zapalem i gorliwością.

P. Wera Skórkowska, kierowniczka biura, oddawała umiłowanej pracy znacznie więcej godzin czasu, niżby to nakazywał jej okowiazek zawodowy, a korespondencja jej z kandydatami na wyjazd z ojczyzny miała charakter wprost „macierzyński“, jak wyraził się delegat Komisji Rewizyjnej. Wnikanie w potrzeby, wątpliwości i obawy ludzi, zmuszonych do szukania zarobku na dalekim świecie, fachowa znajomość kwestji emigracyjnych nadają tej korespondencji znaczenie niesłychanie pod względem społecznym doniosłe.

Biuro złożone z 3 osób odebrało 5. 848 listów i wysłało 6000 odpowiedzi.

Polskie Towarzystwo Kolonjalne, zgodnie z uchwałą walnego zgromadzenia, nazywać się będzie odąd Polskiem Towarzystwem Emigracyjnem. Biuro jego mieści się przy ul. Krak.-Przedmieście № 70. i tam należy zwracać się ze wszelkimi pytaniami w sprawie wychodźstwa czy to stałego, czy sezonowego, unikając agentów linii transportowych i wszelkich innych podejrzanych indywidualności, które bywają często wysłannikami domów publicznych i pod pozorem zajmowania się emigracją, uprawiają handel żywym towarem.

NA WYSTAWĘ PARYSKĄ.

Na rok 1925 przygotowywana jest w Paryżu wystawa sztuk dekoracyjnych. Polska bierze w niej oficjalny udział. Delegatem Rządu jest p. Jerzy Warchałowski.

Zwracamy na fakt ten uwagę działaczek naszych. W rozwoju polskiej sztuki dekoracyjnej kobieta jest w wysokim stopniu zainteresowaną, jako artystka - twórczyni, jako wykonawczyni utalentowana, wreszcie jako siła gospodarcza, która w zbycie naszej produkcji dekoracyjnej widzi jedno ze źródeł bogactwa krajowego. Nie powinniśmy pominąć tej sposobności ukazania zachodowi rodzimej naszej twórczości artystycznej. A za chodzi pewną obawą, iż sale polskie

na wystawie w Paryżu zapełnić się mogą wyrobami, które z charakterem sztuki polskiej nic wspólnego mieć nie będą. Zachodzi obawa, że popiszemy się w Paryżu umiejętnością naśladowania banalnej wiedeńskiej tandety meblarskiej i t. p.

Należałoby urządzić tam stylowe świetlice, łowickie, zakopiańskie, kujawskie, i t. p. wysłać nasze hafty, koronki, kilimy, tak chciwie nabywane przez cudzoziemców i t. d. i t. d.

Zwracać się należy do Biura Rady Ministrów, do p. Jerzego Warchałowskiego.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETA PREZESEM SĄDU W AMERYCE.

W Olno, jednym ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, została obrana na prezesa Izby sądowej—kobieta. Jest nią pani Florence E. Allen,—pierwsza kobieta, która zajmuje tak wysokie stanowisko w sądownictwie amerykańskim.

NIENZANA BOHATERKA WOJNY ŚWIATOWEJ.

Antoine Rédiér w swojej pięknej książce p. t. „Le guerre des femmes“ opisuje wzruszające dzieje nieznaney bohaterki z czasów wojny światowej, Luize de Bettignies, która z niezwykłym poświęceniem pełniła służbę kurjerki podczas okupacji niemieckiej w Belgji. Przekradała się ona przeszło czterdzieści razy przez front niemiecki, narażając się na setki niebezpieczeństw dla przeprowadzenia na stronę holenderską zbiegów, uciekających przed gwałtami wojsk niemieckich, lub też dla przyniesienia ważnych nowin wojskowych na terytorjum neutralnego państwa jakim była Holandia.

Sztab generalny niemiecki zwrócił jednak wkońcu uwagę na dzielną kobietę i Luize de Bettignies została pewnego dnia aresztowana, i oddana pod sąd polowy, który załatwił się z nią krótko. Skazano na śmierć bez długich rozpraw, została rozstrzelana tak jak i słynna Miss Cawell.

Imię Luizy de Bettignies było dotąd nieznanem szerszemu ogółowi, dopiero piękna i z głębokim uczuciem napisana książka Rédiéra przypomni światu szlachetny patriotyzm i bohaterską śmierć tej cichej bojowniczkii uciemiężonej Belgji,

CZY KOBIETY W INDIACH SĄ NIEWOLNICAMI?

Jeden ze znanych działaczy hinduskich, zamieszkały w Wiedniu, umieszcza w „Neues Wiener Journal“ następujący protest przeciwko wiadomościom, rozsiewanym w prasie

europiejskiej o rzekomej niewoli kobiety w Indiach:

„Z prawdziwą radością przekonałem się, po mym przyjeździe do Europy, że prasa tutejsza interesuje się losem naszej ojczyzny i zamieszcza szereg artykułów o Indiach.

Jakież jednak było moje zadziwienie, gdy w artykułach tych znalazłem opisy, zupełnie nie odpowiadające rzeczywistości, o rzekomej niewoli kobiet w naszym kraju!

Czuję się w obowiązku sprostować te wiadomości, nie oparte na niczem, a pochodzące jedynie z niezrozumienia naszego życia i naszej psyche.

Mogę zapewnić tych wszystkich Europejczyków, którzy spędzają czas dłuższy w Indiach, że nawet po pięćdziesięcioletnim pobycie w moim kraju nie byłiby oni zapewne w stanie poznać *naprawdę* zwyczajów religijnych, moralnych i towarzyskich mego narodu. Indje nie są krajem, któryby można było obserwować jedynie powierzchownie. Trzeba dotrzeć bardzo, bardzo głęboko, aby wyłowić najdrogocenniejsze perły...

Niestety! tyle już napisano o tych biednych kobietach hinduskich, które mają być niewolnicami swych mężów—zabawką,—sprzętem domowym jedynie...

Żałuję bardzo, że nikt z Europejczyków nie przekonał się o tym najgłębszym szacunku, o tym—śmiało rzec mogę—ubóstwieniu, jakiego przedmiotem jest kobieta w Indiach!

W rzeczy samej, kobieta zajmowała w Indiach zawsze najszczytniejsze miejsce, zarówno w rodzinie, jak i w obrzędach kultu i wierzeniach, i w poezji naszej.

Boginią mądrości jest Saraswati; boginią piękności—Lakslimi; boginią siły—Kali.

Co się tyczy owych zwyczajów związanych z małżeństwem, a niezrozumiałych dla Europejczyka, jako to: małżeństwa zawierane w dzieciństwie, bez poprzedniego widzenia się małżonków, obyczaje dotyczące się wdowieństwa i t. d.—dadzą się one wyjaśnić bardzo łatwo.

Małżeństwo dla nas—to nie tylko związek cielesny. Jest to przede wszystkim związek duchowy. Znaczenie jego jest nietylko towarzyskie i społeczne, ile religijne.

Każdy, kto obserwuje obyczaje Hindusów, nie powinien zważać na pozory zewnętrzne, lecz starać się wniknąć w ich treść rzeczywistą. Najbardziej pomocną w tem okazać się może znajomość współczesnych narzeczy hinduskich oraz sanskrytu. Jednak i tutaj nie zawsze wszystko da się wyjaśnić. Jest wiele obrzędów i ceremonji, których nie można znaleźć w żadnej książce. Praktyki te wraz z wyjaśnieniem ich znaczenia przechowują się w kaście kapłańskiej, przekazywane ustnie z ojca na syna, i nikomu poza członkami tego rodu nie bywają odsłaniane“.

LAUREATKA KONKURSU „TEMINY“.

Laureatką konkursu literackiego „Teminy“ w Paryżu została panna Jeanne Galzy, której utwór powieściowy p. t. „Les Allongés“ został uznany za najlepszy z pomiędzy wszystkich nadesłanych.

Pana Galzy nie jest już nowicjuską na polu literatury: poprzednia jej powieść, „l'Ensevelie“, otrzymała nagrodę Akademji Francuskiej.

Młoda literatka jest z zawodu nauczycielką; pracę swą pedagogiczną traktuje z prawdziwym umiłowaniem i poświęceniem, uważając ją za główny cel swego życia. Literaturą zaś zajmuje się tylko w chwilach wolnych od zajęć wychowawczych.

STULETNI JUBILEUSZ KONGREGACJI.

Kongregacja Sióstr Dobrej Pomocy (sours du Bon secoure) obchodziła niedawno uroczyste setną rocznicę swego założenia, które miało miejsce w r. 1824.

Kongregacja ta, założona przez biskupa Quilon, rozpowszechniła się niebawem nietylko w całej Francji, lecz i poza jej granicami: w Anglii, Irlandji, we Włoszech i w Stanach Zjednoczonych Ameryki—wszędzie ciche, pełne poświęcenia „siostry dobrej pomocy“ zakładały szpitale, ochronki, żłobki i szkoły dla sierot i ubogich dzieci, śpieszyły z pomocą wszelkim nędzom moralnym i materjalnym.

Uroczystość stuletniego jubileuszu uświetniona została piękną mową J. E. Ks. Kardynała Dubois. Ojciec Św. nadesłał swe błogosławieństwo na dalszą pracę zakonu.

Siostry Dobrej Pomocy mają już swą piękną i zaszczytną kartę w dziejach ostatniego stulecia we Francji: brały one udział w pielęgnowaniu chorych i rannych podczas straszliwej epidemji cholery w 1832, rewolucji 1848 r., Komuny paryskiej w 1871 r., oraz podczas obecnej wojny światowej. Wiele z pośród nich padło ofiarą obowiązku, poświęcając swe życie dla miłości Boga i bliźniego.

ORDER DLA ZASŁUŻONYCH PRACOWNIKÓW.

Rząd włoski ustanowił order „Al merito del lavoro“, który ma być udzielany jedynie za zasługi położone w pracy, i to w pracy ręcznej, a więc robotnikom przemysłowym, handlowym i rolnym bez różnicy płci, którzy wyróżnią się swą pracowitością, uzdolnieniem fachowem, uczciwością i wysokim poziomem moralnym.

Order ma kształt gwiazdy o pięciu promieniach, pośrodku znajduje się wyobrażenie Italji. Na odwrotnej stronie napis „Al merito del lavoro“ oraz nazwisko udekorowanego. Odznaczenie to nosi się na wstążeczce koloru złoto-żółtego; można też nosić i samą wstążeczkę, bez gwiazdy, tak jak się nosi we Francji rozetkę „Krzyż Honorowego“.

w razie gdyby chłody pierwsze rośliny uszkodziły, kwiaty też zwykle około 15 maja wszystkie na grunt się wysadza, osłaniając najdelikatniejsze matami inspektowymi na kolkach, a rośliny cieplarniane nawet beczkami lub skrzyniami. Najodpowiedniejsze do tego są puste beczki od cementu, których w każdym gospodarstwie od remontu budynków pozostaje sporo, — należy je skrzętnie w jakiej szopie przechowywać, a niejedną palmę lub dracnę uratują od przymrozku.

W rozsadnikach, zaraz po wyjęciu z nich rozsady można posadzić pomidory i bakłażany, obie te jarzyny, lubią ciepło, dużo wcześniej tam zaczną owocować i dojrzewać. Bakłażany, mało u nas używane („gruszka miłosna”), są to duże, kształtem do gruszki zbliżone, fioletowe owoce, także jako roślina i sposób hodowli do pomidorów zbliżone, na południu Rosji, na Ukrainie i w Rumunji, bardzo rozpowszechnione. — Robią tam z nich masę potraw, — przepisy niektórych z nich podam jesienią. W klimacie naszym dadzą się doskonale hodować, bo nawet na północy w Kurlandji, doskonale się u mnie udawały i bardzo obficie rodziły. Jarzyną bardzo rozpowszechnioną, niesłychanie natomiast niedbale traktowaną, jest rumberbarum, Zagranicą wszędzie, w bałtyckich prowincjach, a dawniej w Rosji i Petersburgu

targi wiosną są lub były zawałone pękami tych blade-zielonych, prawie kremowych, lekko u nasady różowo zabarwionych, grubych i soczystych łodyg. Kompoty z nich przypominały jabłko i ananas jednocześnie, ciastka niemi przekładane były wyborowe. Nic niestety z niemi wspólnego nie mają krótkie, cienkie, twarde, łykowate, ciemno-buro-zielone łodygi, obficie zakończone twardymi liśćmi, które obecnie na targach Warszawskich pod nazwą rumberbarum sprzedają — widocznie ogrodnicy podmiejscy uważają, że człowiek jako zwierzę wszystkożerne, wszystko zjeść potrafi, — no i ludzie jedzą to trawsko. Jeżeli jednak krzaki rumberbarum jesienią dobrze końskim nawozem przykryć, wiosną, gdy zaczną pędzić, osypać obficie kostrą lnianą lub sieczką słomianą i przykryć połową beczki od cementu, łodygę zaś kwietną wyciąć zaraz, jak się okaże, — możemy mieć taką samą wyborową jarzynę, a że rozmiary jej i waga będą dwa razy większe, praca i zachód stanowczo się oplacą.

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 19

28. Suknia sportowa z eponge'u ponsowego i białego w ponsowe pasy. Kołnierz i pasek białe, beret ponsowy.

29. Suknia z fularu białego w kolorowy deseń, wykończona wstążeczką odpowiedniego koloru.

30. Fartuszek dla dziewczynki od lat 4 do 7 z białej piki, wykończony kolorowym szlaczkiem.

31. Ubranko na wielkie upały dla chłopczyka od lat 2 do 6, z białego płótna, przybrane kolorowym szlaczkiem.

32. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z kretonu jasnego, przybrana ciemniejszymi pliskami.

33. Bluzka z trikotiny deseniowej. Kołnierz i pasek w jednym kolorze.

34. Kapeluszek z crepe georgette, przybrany rajerami.

35. Kapturek dla dziecka z niebieskiej organdiny. Główka układana w drobne fałdeczki.



NEO-FOSFATYNA WENDY

zdołała sobie uznanie jako najlepsza mączka odżywcza dla dzieci, starców i rekonwalescentów.

95 Skład Apteka WENDY
Krak. Przedm. 45. w Warszawie
ZADAĆ WSZĘDZIE

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

92 „KOLORYT”
ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA



REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Niedziela 18/V	ppol. „Pan Twardowski” wiecz. „Lohengrin”	„Żywy Buddha” pp. „Orle” wiecz.	„On, Ona i Mama” pp. „Podatek Majątkowy” wiecz.	„Cyrano de Bergerac”	„Świerszcz za Kominem”	„Pomysł Panny Franciszki”
Poniedz. 19/V	„Opowieści Hofmana”	„Grube ryby”	„Podatek Majątkowy”	” ”	” ”	” ”
Wtorek 20/V	„Kaprys włoski” „Noc letnia”	„Zemsta”	” ”	” ”	” ”	” ”
Środa 21/V	„Faust” — (występ Sibirakowa)	„Orle”	” ”	” ”	” ”	” ”
Czwartek 22/V	„Marja”	”	” ”	” ”	” ”	” ”
Piątek 23/V	„Carmen”	„Ptak”	” ”	z powodu jeneralnej próby premjery, przedstawienia nie będzie	” ”	” ”
Sobota 24/V	„Żydówka” — (występ Sibirakowa)	„Orle”	” ”	„Czerwony Młyn Melnara” (premjera)	” ”	” ”
Niedziela 25/V	„Mad. Butterfly”	„Żywy Buddha” pp. „Orle” wiecz.	„Chrześniak wojenny”	„Czerwony Młyn Melnara”	” ”	” ”

36. Bluzka z trikotyny gładkiej w jednym kolorze i krepowanej, deseniowej.

37. Bluzka z opalu lila, przybrana zakładeczkami i guziczkami fantazyjnymi.

38. Kostjum z białego płótna. Kołnierzyk i kieszenie naszyte wążutką tasiemką koloru niebieskiego.

39. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z deseniowej markizety, przybrana gładką plisą.

40. Sukienka dla młodej panienki z futaru gładkiego i deseniowego. Pasek lakierowany.

41. Sukienka dla młodej panienki z białego płótna, przybrana szlakiem stebnowanym kolorową grubą bawełną.

42. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z ponsowego kreponu, obłożona kreponem czarnym. Haft czarny.

43. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 7 z szarego płótna, przybrana wyszyciem z granatowej tasiemeczki i granatowymi guziczkami.

44. Codzienna sukienka z kolorowego płótna, wykończona ciemniejszą plisą. Kokarda z aksamitki w odpowiednim kolorze.

45. Kapturek dla dziewczynki z białej organdiny, przewleczony kolorową wstążką.

46. Kapelusz do ogrodu, lub mań morze z jasnej słomy, podbity kreponem deseniowym, opasany gazowym szalem w kolorze odpowiednim do podbicia.

47. Bluzka z płócienka lub opalu w kratkę. Kołnierzyk i mankiety białe.

48. Bluzka z markizety jasno-żółtej, przewleczona czarną aksamitką.

49. Bluzka z trikotyny gładkiej w jednym kolorze i krepowanej, deseniowej.

50. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z koloru płótna. Guziki z perłowej masy.

51. Sukienka dla dziewczynki od lat 9 do 13 z woalu granatowego. Spódniczka układana w kontrafałdy, guziki pasmanteryjne, krawat ponsowy jedwabny.

52. Sukienka dla panienki od lat 13 do 16 z surowego jedwabiu, układana w fałdy

Kołnierzyk wykończony koroneczką, pasek lakierowany.

53. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z kretonu z odpasowanym szlakiem.

54. Sukienka dla dorastającej panienki z jasnego płótna, haftowana kilkoma żywymi kolorami.

55. Serwetka okrągła, haft richelieu i atłaśkiem. Wielkość 67 ct. w średnicy.

56. Serwetka haft richelieu wielkość 40 ct. w średnicy.

57. Serwetka do obszycia koronką, haft richelieu. Wielkość 36 ct. w średnicy.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku mōd nabywać można w Administracji „Bluszczu.“

SOLIDNIE! TANIO! ⁹⁹

NA SEZON WIOSENNY

Etole, lisy, pelerynki, kołnierze
POLECA

SKŁAD FUTER

K. STASZEWSKI I K. MASŁOWSKI

Warszawa, KRUCZA 26

TELEFON 223-70

Przeróbki, farbowanie sposobem
lipskim.

Z KALOTECHNIKI.

Zofji R. Jeśli nastąpiło zaczerwienienie należy przerwać stosowanie „Petunji“, a natomiast lekko posmarować udelikatniającym kremem „Salome“ firmy Derouille w Paryżu. Po zniknięciu zaczerwienienia w dalszym ciągu należy smarować „Petunją“ aż piegi znikną.

W. M. Grudziądz. Mydło płynne alkaliczne jak Bay-Rum mniej się pieni, ale tem lepiej odłuszcza i doskonale się spłókuje. Niech Pani myje głowę co tydzień, a łupież zniknie zwłaszcza jeśli pani od czasu do czasu zwilży skórę głowy „Bisarem“.

Pani K. Z. Naświetlenia te uskutecznił nasz lekarz w „Kalotechnice“ Marszałk. 116. Rezultaty zawsze doskonałe. 225

TABELKA PRZECIĘTYCH MIAR					
Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Od Redakcji Działu Mōd

Powyżej podajemy orientacyjną tabelkę, zawierającą cztery przeciętne miary.

Przy zamawianiu form zechcą Szanowne Czytelniczki wymienić wielkość (I, II, III, lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

Aby uniknąć pomyłek przy zamawianiu form i wzorów wprowadzamy od dzisiejszego numeru kolejną numerację modeli.

Począwszy od № 50, przy zamawianiu formy, lub wzoru, należy podać tylko numer tegoż, nie wymieniając numeru „Bluszczu.“

Zaznaczamy równocześnie, że wszystkie zaległości wynikłe wskutek zmian w Administracji zostaną w najbliższych dniach wyrównane.

Do dzisiejszego numeru dodajemy tablicę krojów, którą nadal będziemy stale dostarczać naszym Czytelniczkom w połowie każdego miesiąca.

222 **DORAŻNA POMOC**
LEKARZY SPECJALISTÓW w WARSZAWIE
„AUXILIUM“

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy TEL. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy. **KONSYLJA**

Biurowo Centrali ul. Żórawia 33.

Mydła Przetłuszczane

Tow. Akc. FR. KARPIŃSKI
w WARSZAWIE

udelikatniają **PŁEĆ**, konserwują
ŚWIEŻOŚĆ cery, nadają **skórze**
miękość i MATOWOŚĆ, **NIE**
NISZCZĄ NASKÓRKĘ

211

ARTRETYZM I REUMATYZM
leczy „VITTEL GRANDE SOURCE“
(FRANCJA)

SÓL NATURALNA { pudełko 12 rurek
1 rurka na litr wody

PASTYLKI o przyjemnym smaku

SKŁAD
GŁ. WNY: **L. Nasierowski i S-ka**

Apteka, Marszałkowska 21, tel. 30-42, 7-31 1124-39

Sprzedaż we wszystkich aptekach i składowach aptecznych,

203

LEKARZ-DENTYSTA
Zofja Chondzyńska

PRZYJMUJE: BRACKA 3, m. 3.
od 4 do 7 wieczór

106

224 **CHRZEŚCIJAŃSKA SKŁADNICA NICI**
inż. W. A. WOJCIECHOWSKI i S-ka

Warszawa, Nowogrodzka 29. Tel. 132-04

poleca najtaniej nici, galanterję i trykotaże. **CENY ZNIŻONE.**

Przy większych zamówieniach rabat

Dr. M. TUCHENDLER

B. LEKARZ KLINIKI PROF. LESSERA
CHOROBY SKÓRNE, KOSMETYKA
(ŁUPIEŻ, PIEGI, PŁAMY, USUWANIE
BRODAWEK ELEKTRYCZNOŚCIĄ)

od 11 do 12^{1/2} i od 6-8. 221

Królewska 27 m. 1. Telef. 14-27.

RESZTKI MATERJAŁÓW
(BIELIŻNIANYCH
POŚCIELOWYCH, STOŁOWYCH,
BLUZKOWYCH

Krakowskie Przedmieście 87 m. 5
godz. 10-6^{1/2}.

223

SKŁAD
APTECZNY Tadeusza Hermanowskiego
WARSZAWA

Koszykowa № 22, róg Mokotowskiej
Telefon № 233-05

Wody mineralne, naturalne i sztuczne.
Środki opatrunkowe. Wyprawy polożnicze.
Wyroby gumowe, Oliwa nicejska, Ocety wyborowe, Perfumy i kosmetyki krajowe i zagraniczne

219

213 **PRACOWNIA HAFTÓW**

MASZYNOWYCH RĘCZNYCH DZETÓW MEREZEK
OKRĘTA, OBRABIANIE DZIUREK MASZYNOWO

ANNY JUCEWICZ

WARSZAWA, KRÓLEWSKA 8 m. 9. tel. 151-52.

Paciorkiewicz i Lisowski

Marszałkowska 82 (róg Wspólnej)
W WARSZAWIE
Telefon 71-25

Specjalny skład naczyń kuchenno-gospodarczych, wyrobów nożowniczych i wszelkiej galanterji

217

UŻYWANE
W NAJWYTWORNIEJSZYM TOWARZYSTWIE

KALIA

PERFUM

KW

WODA
KOLONSKA



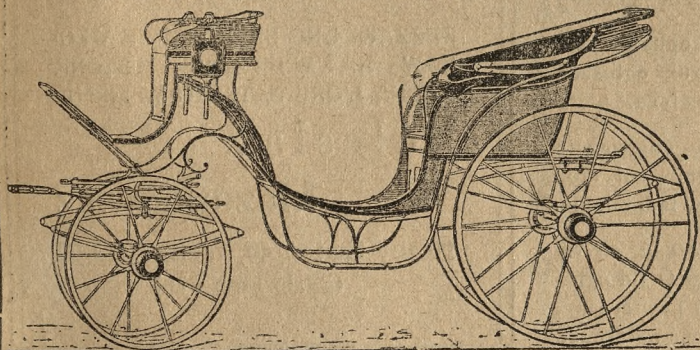
PUDER
LOTION

J. & S. STEMPNIEWICZ · DOZNAK
FABRYKA PERFUM i KOSMETYKÓW

ODDZIAŁY:
WARSZAWA: KS. SKORUPKI 8.
KRAKÓW: RYNEK GŁÓWNY 46.
RADOM: PIASKI 12.

117

FABRYKA POWOZÓW, BRYCZEK i KAROSERJI BRACIA OSTROWSCY i S-KA



NAJWIĘKSZY
WYBÓR
POJAZDÓW
W WARSZAWIE
FABRYKA:
DOM WŁASNY
LUCKA № 11
TEL. 164-06.
178

FARBIARNIA,
PRALNIA CHEMICZNA i BIELIZNY
HOŻA Nr. 9 (sklep)

216

FABRYKA TRYKOTAŻY
JAN MATUSZEWSKI
NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

Franciszek Peuker

POD MOJĄ KOŁDRĄ
NIKT NIE ZMARZNIĘ

Magazyn pościeli i bielizny damskiej
WARSZAWA

132 ŻŁOTA 23, TELEFON 501-16

Opaski: dla pań korpulentnych, przeciw obwisłości brzucha, po operacyjne, na latającą nerwę, przeciw obniżeniu żołądka, po przebytem połogu it. d.

Bandaż: na przepukliny brzucha, pępka pachwiny i t.p. Prostotrymacze. Pończochy gumowe i t. d. poleca bandażysta

M. Polaczek — w Samborze
180 (cenniki fr. i gr)

SPÓŁDZIELCZA WYTWÓRNIA UBRANI I BIELIZNY

Koszykowa 33 tel. 258-08.
Krucza 19 telefon. 168-00.

HURTOWNIA—DZIAŁ MĘSKI i BIELIZNA, PALTA DAMSKIE, SUKNIE, KOSTJUMY i UBRANIA DLA DZIECI
Wykonywa—Hurtowe roboty dokładnie i oszczędnie i tanio. Damskie ubiory wykwinnie po cenach umiarkowanych.

218

LAKTA i MILKA

najmocniejsze wirówki do mleka, pracują bez naprawy dziesiątki lat. Lakta odłuszcza mleko i niepodgrzewane

OMEGA, konwie do mleka, masielnice, wygniatacze, serowarskie przybory.

Biura sprzedaży:

WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 6.
POZNAŃ, Wawrzyniaka 14.
ŁÓDŹ, Kościuszki 28.
LUBLIN, Namieśnikowska 13,
WILNO, Końska 18.

KRAKÓW i LWÓW
ZWIĄZEK SPÓŁEK MLECZARSKICH.

190

PRALNIA CHEMICZNA

STEFANJI SZYCHOWSKIEJ

W WARSZAWIE, UL. MOKOTOWSKA 41.

!!! CENY PRZYSTĘPNE !!!

214

PASY-GORSETY

Staniczki niezbędne dla pań, pranie, re-peracja i t. p. poleca:

H. GRABOWSKA

WILCZA 38 m. 12.

215

WOSK do batików.

MIÓD prawdziwy pszczelny.

ULE i przybory pszczelnicze wyrobu:
Sp. Akc. K. MIESZKOWSKI i innych firm.
NASIONA roślin miododajnych

poleca:

ZAKŁAD PSZCZELNICZY

P. F. STEFAN MIESZKOWSKI
WARSZAWA, UL. WSPÓLNA № 36.

216

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA,

MARSZAŁKOWSKA № 145.

STROJNE
KOSTJUMY **SUKNIE** **OKRYCIA**
NOWE MODELE

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ WŁADYSŁAWA SUDYK

Przyjmujemy zamówienia terminowe
 z powierzonych materiałów na swetry
 bieliznę i t. p.

Robota wykwińska.—Wykonanie solidne
 i punktualne.

Warszawa, Nowy-Świat № 12

Pracownia przy sklepie.

140

FABRYKA POŃCZOCH i TRYKOTAŻY N. ŁOSIAKOWSKA

WARSZAWA, ŻŁOTA 21, TEL. 158-63

Poleca po cenach fabrycznych:

Swetry, Bluzki, Pantalony damskie i męskie. Dziecinne sukienki i ubranka. Pończochy, Skarpetki i t. p.

Od najskromniejszych
 130 do najwykwintniejszych

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
1/2 "	51 „ 75 „
1/4 "	29 „ 25 „
1/8 "	15 „ 75 „
1/16 "	9 „ — „
1/24 "	6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.



BEZZAWODNE FARBOWANIE WŁOSÓW NA WSZYSTKIE KOLORY. MENNĄ L'OREAL TYLKO W FIRMIE

Bolesław

Mazurkiewicz

Nowy-Świat 40, Telef. 233-60
 (gdzie kino Pan)

208

PIEGI usuwa radykalnie znany

KREM **IMSZA**

METAMORFOZA

191

Prenumerata „Bluszczu”

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 „ — „
zagranicą miesięcznie	7 „ — „
zmiana adresu	30 „

Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów.

Wysyłkę „Bluszczu” przerywamy stanowczo w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
 Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

KRAWIEC DAMSKI Mistrz Cechowy NAPOLEON RODZIK

ZIELNA 4 m. 3 tel. 244-27.

POLECA TYLKO NA ZAMÓWIENIA

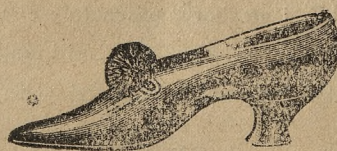
Letnie, Kostjумы i Płaszczы z własnych
 i powierzonych materiałów. 196

PRZY ANEMJI i OSŁABIENIU FIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza
 apetyt i wzmacnia organizm.

OBUWIE MĘSKIE, DAMSKIE

poleca:



C. GADZIŃSKI, S-to Krzyska 5, w podwórzu.

201

PRALNIA CHEMICZNA i FARBARNIA A. BŁASZCZYK

Żórawia 20

III CENY PRZYSTĘPNE III

198

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ STEFANJA CEGLARSKA Ś-TO KRZYSKA 36.

202

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i l. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
 Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
 Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK” Nowy-Świat 8-10.